Nr. 31 (1438). Warszawa, 1 Sierpnia 1908 r. **Rok XXVIII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcya i administracya **Rysia 3. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Braterstwo krwi i braterstwo ducha.

Każdej akcyi politycznej towarzyszy pewien nastrój.

Bywa on czasem źródłem akcyi samej, tam mianowicie, gdzie ona ma charakter żywiołowy i opiera się na masach. W innych wypadkach bywa rozmyślnie wywoływany środkami bądź to banalnemi, obliczonemi na jednodniowy efekt, bądź to mierzącemi głębiej i tworzącemi pewien system edukacyjny.

Konieczność wytworzenia psychicznego tła dla danej akcyi tłomaczy pewną teatralną „mise en scene" zarówno przy rozpoczynaniu kroków wojennych jak i przy zawieraniu przymierzy. Oddziaływanie na wyobraźnią przez pochody, błogosławieństwa, nabożeństwa lub też iluminacye, pieśni, toasty należy do spowszedniałych środków agitacyjnych.

Kiedy Rosya i Francya zawierały dwuprzymierze, jedna potrzebując pieniędzy, druga chcąc swoje dobrze oprocentować, franko-rosyjskiemu aliansowi towarzyszyły różne uroczystości i wizyty, propagowano patryotyczne sympatye nawet w szkołach francuskich, tłumaczono mnóstwo rosyjskich powieści i wystawiano Eugeniusza Onegina w Paryżu. Ani dla zawarcia aliansu, ani dla operacyi finansowej nie było to niezbędne, ale zwiększało popularność jednego i drugiej. Braterstwu franko-rosyjskiemu brakło głębszego psychicznego podkładu, — stwarzano go sztucznie.

Inaczej się dzieje tam, gdzie nastrój jest odbiciem jakiejś idei skupiającej wkoło siebie rzesze, które wzajemnie się podniecając, potęgują swój zapał. W takim razie poczucie braterstwa między niemi wytwarza się poniekąd samo, że zaś żadna szersza idea nie mieści się w granicach jednego kraju — na tem tle wyrasta dążenie do zbratania się narodów.

Wszystkie międzynarodowe kongresy, bez względu na to, czy to będzie zjazd uczonych, dziennikarzy, miłośników pokoju, wolnomyślicieli, abstynentów i t. d., są czynnikami tego zbratania, choć zarazem potęgują także i poczucie solidarności w każdym poszczególnym narodzie.

Polski antropolog z uznaniem patrzy na Niemca Virchow'a, a niemiecki przyrodnik na Francuza Pasteura, równocześnie zaś Niemcy szczycą się *swoim* — Francuzi *swoim* uczonym. To, co stanowi w danym wypadku spójnię między obcymi—czasem nawet wrogimi żywiołami — imponuje swoją potęgą, porywa wyobraźnię, otwierając dla niej szerokie horyzonty... Wiedza, sztuka, odrodzenie etyczne, prasa i t. p. występują wtedy w roli „aniołów pokoju", łączących pod swem berłem wszystkie, nawet zwaśnione, ludy.

Uczestnicy takich świąt pojednania oddychają pełniej, wzrokiem sięgają dalej, tak jak ci co wejdą na wyżyny, lecz nie odczuwają pustki i osamotnienia wyżyn. Przeciwnie; atmosfera szerokich przestrzeni jest pełną słonecznego ciepła. Wszakże *obcy* stali się *swoi*, a *swoi* jeszcze sobie bliżsi.

I nie należy znowu wyobrażać sobie — (jak chętnie w takich razach bywa akcentowane) — że ten element między-ludzkiego, międzynarodowego braterstwa ma naturalnego i nieprzejednanego wroga w patryotyzmie w szczególności, — w ogóle w polityce. Jakkolwiek brzmi to może paradoksalnie, nieraz w historyi miłość ojczyzny stawała się czynnikiem zbratania między ludami tak jak w powyżej cytowanych wypadkach kosmopolityczne zjazdy potęgują poczucie narodowej łączności. Co więcej — możnaby nawet historycznie wykazać, że pojęcie patryotyzmu, idea narodowa w nowoczesnem rozumieniu, zrodziła się pod tą samą datą co idea międzynarodowej łączności, że to są bliźnięta. A rzecz ta stanie się nawet zrozumiała, gdy przypomnimy sobie, że w nowoczesnej epoce cywilizacyjnej samo pojęcie narodu jest względnie nowe i ma bardzo demokratyczne pochodzenie, powstało bowiem równocześnie z upadkiem czystej zasady monarchicznej, wcielonej w maksymę Ludwika XIV-go „L'etat c'est moi".

Walka Stanów Zjednoczonych o niepodległość była może pierwszym wyrazem tego prądu—a zarazem pierwszą manifestacyą między-ludzkiego braterstwa. Wszakże pod gwiaździstym sztandarem walczyli obok rodaków Waszyngtona patryoci innych narodowości, i to ci sami właśnie, którzy demokratyczne hasła wolności, równości, braterstwa przenieśli na drugą stronę Oceanu wraz z pojęciem patryotyzmu.

Ci Francuzi co walczyli pod znakiem burbońskich lilii,—umierali za króla i dynastyę; pod trójkolorowym sztandarem przelewali krew za „ojczyznę w niebezpieczeństwie". „Trójkolorowa kokarda" istotnię obiegła świat, a nowonarodzony patryotyzm francuski nawet wtedy, gdy pod orłami cesarskiemi skupiał wielonarodową armię, stał się pośrednio lub bezpośrednio siewcą idei narodowej i haseł demokratycznych dla całej Europy.

Z rewolucyi francuskiej i epopei napoleońskiej zrodził się romantyzm polityczny, który wypełnił sobą pierwszą połowę XIX wieku, a był epoką najbujniejszego rozkwitu idei międzynarodowego braterstwa.

Był nią zabarwiony bardzo silnie nasz patryotyzm romantyczny i emigracyjny, a nastrój ówczesnej Europy tak z nim harmonizował, że wtedy mieliśmy braci z ducha we wszystkich krajach. Z Francuzami łą-

czyło nas braterstwo broni, wspólnych zwycięstw i klęsk, nadziei i rozczarowań. Mickiewicz — wygnany z Wilna — znalazł „przyjaciół Moskali" w Odesie, Moskwie, Petersburgu. Słowacki oblewał łzami białe karty książki opiewającej walki mężnych Greków, wtedy gdy największy wieszcz angielski owych czasów umierał pod Missolungi składając swe młode życie na ofiarę cudzej wolności. „Młode Niemcy" wniosły do nas posiew poetycznych natchnień, które stworzyły polską literaturę narodową, a Młode Włochy stworzyły szkołę politycznych organizacyi szerzących ów wszechnarodowy ruch patryotyczny.

Nasz mesyanizm emigracyjny stał się ewangelią międzynarodowego braterstwa głoszonego na tle ściślejszego braterstwa słowiańskiego przez Mickiewicza z katedry College de France. Gdy zaś posiew tej idei w dobie „wiosny ludów" wybujał, bratnie przymierze przypieczętowano krwią. We Włoszech, na równinach węgierskich, na paryskich barykadach Polacy zawiązywali węzły duchowej jedności; w Berlinie nawet mieli braci, którzy ich nosili na rękach. W rok potem założyli w Paryżu „Trybunę ludów" i tam znaleźli się ramię przy ramieniu Polak, Rosyanin, Francuz, Włoch, Niemiec.

Przypominam, że i wówczas—choć nie istniała jeszcze narodowa demokracya, — byli ludzie, dla których ten międzynarodowy patryotyzm był niezrozumiały i podejrzany. Postarali się oni ówczesnemu francuskiemu ministrowi spraw wewnętrznych zwrócić uwagę na zgubną działalność „pana" Mickiewicza „pogardzonego przez swych ziomków" i niewątpliwego agenta rządu rosyjskiego. Ta nawiasowa uwaga wyjaśnia całą głęboką różnicę między patryotyzmem — a szowinizmem i jego wszystkiemi odmianami—oraz między braterstwem krwi — a braterstwem ducha.

„Ziomkowie" pogardzają dziś nie tym, który ich ideę narodową podniósł na wyżyny ogólno-ludzkich dążeń, lecz tym, który ją brukał w paryskiej prefekturze policyi.

O ile w pierwszej połowie XIX wieku krzewił się i tryumfował ów pierwszy rodzaj patryotyzmu, o tyle w następnej zapanował wszechwładnie drugi. Idee głoszone przez „Trybunę ludów" całkowicie znikly z horyzontu, nastąpiła ogólna reakcya i my straciliśmy naraz wszystkich „braci".

Ideały humanitarne jednak nie zginęły lecz odżywają w innej formie; nie zginął też nieśmiertelny antagonizm między duchem, który przemawiał przez usta „pana" Mickiewicza, a tym który się wcielił w memoryał Boudevilla i Ostrowskiego. Pierwszy przysparza nam braci—drugi wrogów. Widzieliśmy niedawno ścieranie się tych dwóch prądów i naturalnie znowuż pierwszy piętnowano jako kosmopolityczny, antynarodowy.

W Pradze czeskiej — w ostatnich dniach zmagał się jeden z drugim. Porozumienie polsko-rosyjskie forsowane z przeszkodami na gruncie rasowym, braterstwa krwi, o wiele mniej przedstawiało trudności kilka lat wcześniej zainicyowane na podstawie ideowego, duchowego braterstwa. Ci co dawniejsze próby zbliżenia piętnowali jako ugodę, zwalczali więc świadomie czy nie świadomie, nie sam fakt przymierza, lecz ducha, który go ożywiał. Dla nich rasowy jego charakter jest jedynym cementem, jest rozszerzeniem sfery szowinizmu i zarazem rozgrzeszeniem dla przekroczenia jego ciasnych granic. Dla drugich ideowy kierunek jest wszystkiem i stanowi — na odwrót — jedyne rozgrzeszenie charakteru rasowego. Mimo braterskich haseł, nie było tam braterstwa duchowego nawet w łonie samej delegacyi polskiej.

A jednak był nastrój i na tle tego nastroju mogą się z czasem wytorzyć węzły bliższego powinowactwa, może nawet stałego lecz tylko o tyle, o ile znajdzie się istotnie wspólny podkład ideowy. Tem powinowactwem zwiążą się nie wszystkie grupy i nie wszystkie jednostki uczestniczące w święcie braterstwa, lecz te tylko, które stoją pod jednym sztandarem. Polska demokracya może znaleźć braci nad Wełtawą, Sawą, Dunajem, nad Dniestrem i nad Newą nawet, ale tylko w demokracyi czeskiej, serbskiej, rosyjskiej, ukraińskiej i t. p. Niewątpliwie znajdzie tam braci i polska reakcya, tak jak rosyjska posiada ich nad Szprewą.

To wcale nie znaczy bowiem, by ich nie można szukać i poza kołem najbliższych krewnych. Nie tylko szczep nie stanowi granic ideowego braterstwa, lecz nawet i rasa. Niegdyś „Węgier i Polak" to były „dwa bratanki". Niedawno generał Kuroki i admirał Togo, mieli gorących „białych" wielbicieli, mimo gróźb „żółtego niebezpieczeństwa" z emfazą nawołujących ludy Europy do łączenia się, co zresztą przebrzmiało bez echa. Dziś do najpopularniejszych u nas mężów stanu, nie zalicza się jeszcze pan Kramarz, lecz raczej król Edward VII czerpiący zresztą swą popularność w tem samem co p. Kramarz źródle, t. j. w grozie germańskiego niebezpieczeństwa. A i to wszystko wkrótce przeminąć może zależnie od tego, z której strony, ze Wschodu czy z Zachodu, powieje teraz wiatr wolności.

Jedno bowiem nie przemija nigdy, duch z którego się międzyludzkie braterstwo rodzi.

I. M.

Organizacya wolnej myśli.

Na szeroką skalę zakreślona propaganda zasad myśli wolnej, przeprowadzenie reform w duchu tych zasad, wniesienie nowych, świeckich urządzeń i instytucyi społecznych, odpowiednia zmiana prawodawstwa, założenie — jednem słowem—podwalin świeckiego państwa i przyszłego wolnego społeczeństwa — ta wielka wyzwoleńcza praca odbywać się może tylko za pomocą silnej, szeroko rozgałęzionej, energicznej i umiejętnie prowadzonej organizacyi.

Wszelka akcya indywidualna, aczkolwiek jest niezbędną i częstokroć oddaje danej sprawie pewne usługi, nie może jednak rościć sobie pretensyi do skutecznego przeciwstawienia się zorganizowanym, silnym, bogatym w zasoby moralne i materyalne potęgom, które zwalcza. Działalność odosobnionych jednostek nie jest w stanie dać ani moralnego, ani materyalnego oparcia tym wszystkim, którzy zasady propagowane przez te jednostki przyjąćby radzi, lecz żyć zgodnie z wyznawanemi już zasadami nie są w stanie, czy przez brak odwagi, czy przez wszelkiego rodzaju fatalną zależność od opinii publicznej lub od najbliżej ich stojącej władzy, czy też ze względu na swoje niezbędne stosunki społeczne, rodzinne, towarzyskie i t. p. Ci wszyscy, a takich

Z cyklu „Arcana".*)

Beatrix Cenci.

Pani Helenie Beatus poświęcam.

Wchodzę do galeryi Barberini... Serce, jak ptak, tłucze mi się niespokojnie w piersi...

Na szczęście, zupełnie jest tutaj pusto...

Lecę na skrzydłach do sali, gdzie jest *jej* portret, malowany w więzieniu przez *Guido Reniego*, i staję, jak wryty...

W białym, więziennym zawoju, w białej, więziennej szacie, która w tym wypadku jest szatą gołębiej niewinności, patrzy na mnie z za łez baśniowym sezamem dużych oczu, gdzie miga w głębinie złoty skarb Ali Baby, księżycowe złoto indywidualności, zgwałcony przez rodzonego ojca anioł—zbrodniarka, tragiczna, potępieńczo cudna ojcobójczyni, demonicznie łagodna i słodka Beatrix...

Usiadłem nawprost na krześle i godzinami całemi chłonę jej perwersyjny, niezdrowy [illegible]...

Zakochałem, zapamiętałem się na śmierć w tym dziwnym, tajemniczym portrecie!...

To jest właściwie ja już kochałem go dawniej, tęskniłem do niego...

Jakiś tajemny węzeł wiąże nas ze sobą w Wieczności i ciągnie mnie z nieprzepartą siłą po przez czarny, więzienny mrok wieków ku tej strasznej tragedyi, jaka się rozegrała tutaj w Rzymie...

W podobnie tajemny sposób związanym się czuję we Włoszech z nadludzkim, archanielsko-płomiennym żywiołem Michała Anioła i jego tytanicznemi dziełami, płomiennymi wybuchami wulkanu jego ducha!

Patrzy na mnie, jak żywa, słodka, droga Beatrix z tajemnego, demonicznego potretu!...

. Mam uczucie, że, wzywany przez kogoś rozpacznie na ratunek, przyszedłem dopiero po wiekach, spóźniłem się strasznie!

„...Widzisz, widzisz, co ze mną uczynili!"... — mówi do mnie rozszlochana z portretu, blada, skrzywdzona, zgwałcona przez starego rozpustnika i opoja, *Cenciego*, a potem potępiona przez sądy ludzkie i ścięta, święta męczennica-zbrodniarka, sędzia i kat sprawiedliwy własnego ojca, posępno-łzawa Beatrix ..

Magicznej, wtajemniczającej, krwawej pręgi na jej szyi, o której słyszałem i czytałem tyle, nie widziałem przez cały czas patrzenia na nią zupełnie...

Może to łzy przesłaniały oczy, a może owa krwawa, tragiczna pręga znikła tajemnie na czas pewien z tego upiornego portretu?...

Może to była potępieńcza, straszliwa, demoniczna kokieterya bladego, załzawionego upiora, cichej, skupionej, tajemniczej, mal-

*) Z IV seryi poezyj.

jest zawsze i wszędzie większość ogromna, jedynie w organizacyi znaleźć mogą oparcie.

Powtóre zaś same reformy społeczno-polityczne wymagają już z konieczności rzeczy akcyi zbiorowej. Wolnomyśliciele— wielkim, potężnym organizacyom niewoli ducha i sumienia, przeciwstawić muszą swoje kadry wolnej myśli, propagandzie ślepej wiary, pielęgnowaniu ciemnoty i metodycznemu zaszczepianiu fanatyzmu narodowego, rasowego i religijnego — *propagandę praw rozumu i sumienia ludzkiego*, popularyzacyę wiedzy i metodyczne uszlachetnianie form współżycia między ludźmi i narodami.

Świetny, szybki rozwój wolnej myśli w społeczeństwach zachodnio - europejskich zawdzięczają wolnomyśliciele jedynie swoim organizacyom.

By dać możliwie dokładny obraz działalności i atrybucyi lig wolnej myśli, należy nasamprzód dobrze uświadomić sobie ich ideową podstawę, określić charakter i istotę samego zgrupowania ludzi różnych przekonań politycznych w jedną zwartą organizacyę, mającą wspólne cele. Myśl wolna nie jest ani doktryną polityczną ani też nie stanowi żadnego credo społecznego, czy filozoficznego; przeto Liga wolnej myśli nie obowiązuje swych członków do wyznawania określonych poglądów i nie narzuca żadnej doktryny. Jeden jedyny węzeł, łączący wolnomyślicieli jest to uznanie prawa każdego człowieka do nieograniczonej wolności myśli i sumienia i nieuznawanie żadnych dogmatów politycznych, społecznych, filozoficznych i religijnych. Nieświadomi rzeczy mogliby odmówić wartości takiemu zgrupowaniu, które nie jest wyrazem określonych poglądów i doktryn. Słaby napozór węzeł — prawo wolności myśli — wyda się wielkim, skoro zdamy sobie sprawę z całej doniosłej działalności wynikającej z tej jednej wspólnej podstawy: aby owe prawa rozumu i sumienia człowieka zastosować do życia społecznego, na to trzeba całe psychiczne i moralne życie społeczeństwa oprzeć na nowych zasadach, na to trzeba znieść wszystkie te instytucye i prawa, które obowiązują do wyznawania oficyalnie uznanych prawd i poglądów. Zaś by dojść do możności zniesienia owych praw i instytucyi w drodze prawodawczej, należy podnieść szerokie warstwy społeczeństwa na wyższy poziom społecznej świadomości. A do takiej pracy t. j. do wielkiej propagandy wolnomyślicielstwa stanąć może jedynie zwarty, zorganizowany szereg ludzi, wyzwolonych z wszelkich dogmatów i na ciężką walkę całkiem zdecydowanych.

Liga wolnej myśli tem się różni zasadniczo od partyi politycznej, że partya jest po pierwsze organizacyą ludzi, wyznających jedną określoną doktrynę społeczno-polityczną, powtóre stanowi siłę reprezentującą interesy poszczególnej grupy, czy klasy społecznej; liga zaś łączy w sobie ludzi różnych poglądów i nie wyraża interesów poszczególnej klasy, lecz dąży do zapewnienia całemu społeczeństwu wolności myśli i sumienia.

Z tej różnicy między partyą polityczną a ligą wolnej myśli nie wynika bynajmniej, żeby ta ostatnia mogła być organizacyą apolityczną: liga wolnej myśli jest organizacyą apartyjną, lecz apolityczną być nie może ze względu przedewszystkiem na to, że pierwszą reformą zawartą w programie wolnomyślicieli jest reforma nawskroś polityczna, a mianowicie: oddzielenie Kościoła od Państwa; a i oddzielenie to wolnomyśliciele mogą przeprowadzić jedynie na drodze prawodawczej i jedynie wespół ze wszystkiemi antyklerykalnemi partyami politycznemi, tak socyalistycznemi wszelkich odcieni, jak i postępowemi. Liga wolnej myśli nie może być apolityczną z tego względu, że wywalczana przezeń laicyzacya wszystkich instytucyi państwowych i urządzeń społecznych t. j. pozbawienie ich wszelkiego charakteru wyznaniowego może się odbyć jedynie drogą politycznych reform i zmiany prawodawstwa. Laicyzacya każdego społeczeństwa jest jaknajściślej związana z demokratyzacyą tegoż społeczeństwa i odbywać się może współrzędnie ze wzrostem sił postępowych i socyalistycznych.

Wszędzie, gdzie odbyło się całkowite oddzielenie Kościoła od Państwa (Francya, Stany Zjednoczone, Meksyk), wolnomyśliciele zawdzięczają wspólnej z partyami politycznemi walce przeprowadzenie tej tak pożądanej reformy. Nigdzie natomiast wolnomyśliciele nie szli oddzielnie wtedy, kiedy chodziło o wywalczenie politycznej reformy w duchu wolnej myśli. Ktokolwiek zna choćby pobieżnie dzieje ciężkiej walki o oddzielenie Kościoła od Państwa we Francyi, ten wie, że zwycięstwo osiągnięte zostało dzięki połączeniu się na tym punkcie (naturalnie — tylko na tym) wszystkich żywiołów postępowych i wolnomyślnych, poczynając od skrajnych socyalistów a kończąc na radykałach. Aczkolwiek w parlamentarnym życiu danego społeczeństwa, organizacye wolnej myśli nie odgrywają roli partyi politycznej t. j. nie wystawiają żadnej kandydatury poselskiej, to jednak popierają wszelkimi siłami tych wszystkich kandydatów, którzy wyraźnie wypowiedzieli się za reformami w duchu wolnej myśli i w ten sposób wywierają swój wpływ na dziedzinę politycznego życia. Dopiero po przeprowadzeniu kardynalnych reform politycznych, zapewniających społeczeństwu wolność myśli, działają już na własną rękę ku coraz to silniejszem wcieleniu w życie wywalczonych praw, ku metodycznemu uszczuplaniu wpływu kleru pozbawionego już materyalnego poparcia Państwa i wpływu instytucyi wyznaniowych, usuniętych przez Państwo do rzędu wolnych prywatnych stowarzyszeń.

Dopóki zaś te podstawowe reformy nie zostały wywalczone, muszą one działać współrzędnie a w odpowiednich chwilach wspólnie z antyklerykalnemi partyami politycznemi.

Ligi wolnej myśli przez to właśnie, że grupują w sobie ludzi różnych przekonań politycznych i dają przez to możność stałego ścierania się różnych poglądów, — najlepiej wyrabiają ów cenny zmysł polityczny, ową zdolność wspólnego wystąpienia we wspólnej sprawie i w odpowiedniej chwili, zdolność tak niezbędną w życiu politycznem każdego społeczeństwa. Organizacya ludzi różnych przekonań jest najlepszym środkiem osłabienia sekciarstwa i dogmatyzmu politycznego.

Należy tutaj odpowiedzieć na często i szczególnie u nas spotykany zarzut ze strony partyi politycznych, a mianowicie: że liga wolnej myśli mając na widoku reformy tyczące się całego społeczeństwa, osłabia jakoby kadry partyi reprezentujących interesy klas poszczególnych przez odciąganie ludzi od organizacyi partyjnych. Zarzut ten zresztą skierowany bywa częstokroć do wielu instytucyi kulturalnych. Na to możemy odpowiedzieć, że po pierwsze Liga myśli wolnej nigdy nie może dezorganizować partyi, których formacya jest taką samą koniecznością dziejową, jak i same źródła tych partyi, t. j. sprzeczności interesów klasowych; powtóre zaś właśnie organizacye wolnej myśli, o ile wpływają na partye polityczne, to jedynie w sposób dodatni przez pozbawienie ich ducha sekciarstwa i dogmatyzmu, zawsze dla żywotności i rozwoju samej partyi ze wszechmiar zgubnego.

Tyle o różnicy między Ligą wolnej myśli a partyą polityczną i ich wzajemnym stosunku. Przechodzę do wewnętrznej organizacyi Ligi wolnej myśli.

Normą przyjmowania członków do Ligi wolnej myśli jest postępowość człowieka w najszerszym rozumieniu tego słowa. Jak powiedziano wyżej, Liga wolnej myśli nie narzuca żadnego credo politycznego, społecznego, czy filozoficznego. „Cokolwiek wyznaje wstępujący do Ligi wolnomyśliciel — pisze w swym liście otwartym do członków b. prezes francuskiej federacyi wolnej myśli prof. F. Buisson — określa go nie to, w co wierzy lub czemu przeczy; jest on wolnomyślicielem od chwili, kiedy odrzuca wszelką granicę i nie znosi żadnego

---

sztromowo ciągnącej w otchłań strusznej tajemnicy, słodkiej, drogiej Beatrix?...

...A może to nie ten jej portret?...

* * *

...Zapamiętawszy się w sfinksie jej cudnej, zagadkowej, jak cicha tafla morza, głębokiej, jak tajemnica, twarzy, odgadywałem pod białym, więziennym zawojem przepych jej kasztanowatych włosów (musiały być takie, a nie inne!...), które jakże często okrywały wonnym, puszystym płaszczem, białe, kararyjsko-marmurowe, dziewicze jej plecy!...

Wyczuwałem głodnemi, stęsknionemi przez wieki oczami, pod białą, więzienną szatą, sezamowe, baśniowe, rzucające ducha w proch czary jej dziewiczego, białego, gorącego, krągłego łona, i wężowe, magiczne, cieleśnie wtajemniczające linie boskiego jej ciała!...

Tarzając się duchem w pokutnym prochu, oblewałem gorącemi łzami białe, drobne jej stopy, których nie było na tym tajemnym, strasznym portrecie, a które musiałem dopiero *odklinać*, odtwarzać z czarnego mroku Wieczności!...

W końcu duchem brałem w posiadanie ją całą, taką demonicznie zbrodniczą, tajemną, straszną, a tak zarazem potężnie słodką i malsztromowo ciągnącą w otchłań tajemnicy, oblewałem gorącemi łzami i okrywałem płomiennym żarem potępieńczych, tęsknych pocałunków, drogie białe jej ciało!...

Stęskniona przez wieki, a tak strasznie, demonicznie kusząca, gięła się ona w moich ramionach, jak młoda, smukła palma na pustyni pod gorącem, wichrowem tchnieniem, łamiącego wszystko samumu!...

Nikt nam nie przerywał tej strasznej magicznej rozkoszy!

Woźni galeryi Barberini byli daleko... daleko...

* * *

...Pośród kamiennych, milczących sfinksowo posągów, idę kamiennym mostem do zamku św. Anioła, do tego ponurego, tytanicznego grobowca Hadrjana, który był przed wiekami więziennym grobem mojej drogiej Beatrix...

Wezbrany, mętno-szary Tyber szumi złowrogo pod mojemi stopami, okryty białą, żółtawą pianą...

Ohydna, wilcza rzeka, opłókująca kamienne stopy nadbrzeżnych bulwarów tego wilczego miasta...

Pieniła się ona tak może przed wiekami jakby chcąc pochłonąć w swoje śmiertelne, mętno-szare wiry biały, skrwawiony kadłub mojej Beatrix...

Z roztargnieniem, pełnem obłędnego szału, słuchałem idyotycznych objaśnień woźnego, który szeroko opowiadał o tem, czego naprawdę *nie było* tutaj nigdy, i skomliłem w duchu, nie mogąc się doczekać chwili, kiedy stary mattoid, ględzący mi nad uchem trzy po trzy *custode*, wprowadzi mnie do czarnej, krwawej, tragicznej celi Beatrycze...

„...Tutaj siedział nieszczęśliwy *Giordano Bruno*... *Infelice*!..."

...Tak... zapewne... *infelice*!... Tylko zapominasz o tem, mój bezzębny, szepleniący

wyjątku w swobodnych dociekaniach rozumu, żadnego wyjątku wolności sumienia... Nie pozwala on stawiać poza prawem krytyki ani księgi, ani człowieka; nie ochrania od krytyki żadnego wierzenia, żadnego systematu, żadnej instytucyi, żadnej dziedziny faktów, pojęć i uczuć... Różnorodność opinii jest dla nas rękojmią, że każdy mówi to, o czem i jak myśli. Nie pragniemy jedności formułek, które zgodne czy niezgodne z prawdą są wyrazem autorytetu naginającego do swego prawa wszystkie umysły. Właśnie zrzucenie autorytetu tego rodzaju jest charakterystycznym aktem naszego związku."

Za najbardziej widomą, lecz oczywiście nie jedyną, oznakę wolnomyślności uznano w międzynarodowej organizacyi wolnej myśli nieodbywanie praktyk religijnych, a w społeczeństwach, gdzie pewne praktyki (np. chrzest, ślub) są nakazane przez prawo — nieodbywanie praktyk nieprzymusowych. Postawiono ten warunek, aby mieć względne zapewnienie, że przyjęty do Ligi nie poddaje się narzuconym mu przez instytucyę wyznaniową praktykom i uświęconym wiekami przesądom.

Działalność Lig wolnej myśli dzieli się na pracę teoretyczną i praktyczną. Teoretyczna praca polega na propagandzie zasad wolnej myśli drogą wydawnictw, odczytów i zebrań dyskusyjnych; zaś praca praktyczna — na zakładaniu świeckich instytucyi społecznych. Po powyższych wyjaśnieniach tyczących się zasad organizacyi wolnej myśli, postaram się z kolei skreślić obraz samej już działalności wolnomyśliciel. Rzeczą bowiem wielkiej wagi jest, by owa działalność odbywała się metodycznie i planowo.

Józef Wasercug.

Z życia politycznego Włoch współczesnych

Konserwatyści.

Są to ludzie dawnej daty, rządzący przestarzałemi środkami.

Mają oni swe drobne cnoty i wielkie wady, a jedne i drugie u gabinetów reakcyjnych, które kolejno dotąd rządziły we Włoszech, sprzyjały najwięcej interesom radykałów i bloku, a potem klerykałów.

Z góry przypuszczać można, że te gabinety dzięki temu trzymały się przy władzy tak długo (od 1870 r.) iż miały pewne zasługi, inaczej bowiem byłyby zmuszone ustąpić miejsca bardziej postępowym kierunkom, które może znalazłszy się u steru, robiłyby to, co i one.

Na nieszczęście (lub może na szczęście) działo się inaczej. Wstępowały one na arenę z tem romantycznem hasłem: „Stworzyliśmy Włochy, teraz należy stworzyć Włochów" (M. d'Azeglio). Istotnie jednak ideę tę wcielały w życie przez popieranie emigracyi do Ameryki i innych stron świata. Wszyscy ci wychodźcy [1]) wyjeżdżali naturalnie z uczuciem przywiązania do rodzinnej ziemi, gdy jednak znaleźli się już po tamtej stronie Oceanu, jedni doszedłszy do lepszego społecznego stanowiska, uniesieni gorączkowym prądem życia zatracali poczucie łączności z krajem, inni trawieni nostalgią, dręczeni niemożnością powrotu stali się istotnie Włochami — na obczyźnie.

Całe południe Włoch, które najwięcej ucierpiało pod rządami, nadużywającemi cierpliwości tego wrzącego lecz szlachetnego ludu, południe — dostarczające najliczniejszego kontyngensu wychodźców—znajduje się obecnie jeszcze w warunkach nie lepszych niż w wiekach średnich. Tomasso Campanella, mnich kalabryjski, ofiara inkwizycyi rzymskiej, pierwszy krytyk społeczny Odrodzenia, pisał w więzieniu 1600 roku, [2]), że z pomiędzy 70,000 mieszkańców Neapolu tylko 10 — 15 tysięcy żyło z własnej pracy, reszta zaś stanowiła klasę nieprodukcyjną zupełnie. Dwieście sześćdziesiąt ośm lat później delegat robotników neapolitańskich na międzynarodowym kongresie w Bazylei, Caporusso, wykazał, że z 600 tysięcznej ludności Neapolu 200 tysięcy należy do pracującego proletaryatu, reszta to tylko konsumenci. [3]) Stan rzeczy nie zmienił się i do obecnej pory.

W maju 1871 r. Constantino Nigra, zdając sprawę Cavourowi o stosunkach neapolitańskich, tak mówił: „Oświaty niema, lud trwa w bezdennej ciemnocie. Niema bezpieczeństwa ani dla komunikacyi, ani dla życia i mienia mieszkańców. Kraj uposażony wszelkiemi darami przyrody nie posiada prawie wcale handlu ani przemysłu. Stąd nędza i głód towarzyszą ciemnocie. Żebractwo pod wszelkiemi postaciami grasuje we wszystkich klasach społecznych, a proletaryat grzęźnie w zabobonach. [4])

Dla zmiany tych warunków rządy konserwatywne nic nie zdziałały. Jeśli rozboje na publicznych drogach znikły, to dlatego, że przeobraziły się w *maffią* i *camorrę* i wniknęły do publicznego życia. We wszystkich skandalach, które wybuchają w czasie kampanii wyborczych, a dotyczą zawsze tylko kandydatów ministeryalnych, działa stale *maffia* z poparciem klerykalizmu. Wykrywano po tysiąc razy w prasie, na wiecach i w parlamencie, że wpływowi posłowie z południa utrzymują jawne stosunki z „i giovane onorati" („honorową młodzieżą (?) tj. kamorystami), że poparcie jest wzajemne, a ministerya spraw wewnętrznych i sprawiedliwości patrzą na to przez szpary. Cóż zresztą mogły poradzić na to gabinety, opierające się na konserwatywnej większości z takich właśnie posłów złożonej? Senat nie wchodzi w rachubę i zgadza się na wszystko.

Czy Włochy północne są wolne od tej plagi? Niezupełnie. I tam rządzą koterye jak w centrum i na południu, choć mniej szeroką rozwijają działalność, utrzymując się przy władzy przez mniej więcej tajony faworytyzm. Na południu zachodzi nieraz nieuchronna konieczność uciec się pod opiekę maffii, na północy wystarczy poseł posiadający wpływy. Tam wiemy, iż bez tego nigdy niczego osiągnąć nie można, tu można tylko iść i tą drogą.

Katolicy, działający za plecami konserwatystów rozpowszechnili w całym kraju metody, przyjęte na południu i północy w wydaniu poprawionem i przybranem w czystą i uczciwą szatę zewnętrzną.

Taki stan rzeczy jest wynikiem działalności 38 letniej konserwatywnych rządów, które nigdy faktycznie nie gwarantowały prawnego porządku w administracyi krajowej, choć hojnie szafowały obietnicami na przedwyborczych zgromadzeniach. Wtedy też tylko była mowa o potrzebach ludności krajowej. W orędziach korony (znanych zresztą z góry) znajdowały się zawsze obietnice reform następnie grzebane w pyle archiwów. Pewna popularność, jaką się cieszy król włoski, nie tłomaczy się wyłącznie jego demokratycznemi obyczajami i alla buona—lecz daną przez niego obietnicę poważnego roztrząsania kwestyi rozwodu.

[1]) W 1907 r. liczba wychodźców włoskich wynosiła 704,675 — a z tego 416,901 emigrowało za ocean. W r. 1906 emigrantów było 788,977 a w tem za ocean 511,935. Podając te cyfry „Economista d'Italia" wyjaśnia zmniejszenie ich obecne przesileniem monetarnem i przemysłowem w Ameryce północnej. Przeciętnie jednak co rok—niestety — 750 tys. ludzi opuszcza kraj, posiadający 33 miliony mieszkańców.

[2]) T. Campanella „La Cita del Sole" wyd. w Turynie 1854 r. Opere scelte II, str. 556.

[3]) „Bolletino operaio" i „Cronica sociale" w 1-ym numerze „Equalianza. Neapol 5. List 1769 r.

[4]) „C. Nigra" Napoli nel 1861. Rapporto. „Nuova Antologia XXXVII.

staruszku, że to właśnie tacy jak ty, go tutaj posadzili...

Czując, że stanęliśmy w ciemnym, ponurym korytarzu przed celą Beatrix, przed jej przedśmiertnym grobem, w którym musiała sobie krwawić pięście o ściany w tym strasznym letargu przed straceniem, wsunąłem przezornie staremu nudziarzowi — *custode* jakiś pieniądz do ręki, prosząc go zduszonym, ale zarazem jakimś wściekłym i groźnym szeptem, żeby nie odkręcał światła elektrycznego, co czynił przed wejściem do każdej celi oświetlając ją na czas naszego w niej pobytu banalną, upiorną lampką elektryczną, tylko żeby odszedł odemnie i wogóle pozostawił mnie w spokoju...

Musiała być w moim szepcie jakaś straszna stanowczość, gdyż *custode*, chociaż nie bez wahania i patrząc na mnie dość podejżliwie, oddalił się pospiesznie, mrucząc coś do siebie, niby stary, wyszarzany mag współczesny, szepczący jakieś tajemne, chociaż bezsilne, zaklęcia...

Kiedy już jego starcze, wlokące się kroki budzące w spleśniałych, sklepieniach jakieś ślamazarne echa, umilkły nareszcie, postałem jeszcze przez chwilę w zadumie w ciemnym korytarzu, poczem, schyliwszy się, z cichym obłędnym śmiechem *wtajemniczonego*, wtłoczyłem się z trudem przez ciasne przejście do czarnej, ciemnej, jak grób celi Beatrix Cenci...

Więc to *tutaj*, na tej kamiennej posadzce leżała prawie naga, z cudnym, jedwabnym płaszczem kasztanowatych włosów, rozsypanym po dużych, płaskich głazach, niby pokutująca, tarzająca się w prochu Magdalena?...

O, biedne, białe, marmurowe, drżące może z zimna i głodu, rozkoszne jej ciało!...

O, blada śmiertelnie głowo, fontanną krwi chluszcząca, kiedy cię kat czerwony, zamaskowany, świsnąwszy w czarnym mroku, oświetlonym krwawo pochodniami, ciężkim obosiecznym, stalowym mieczem, odciął od cudnego białego kadłuba Beatrix!...

...Niby męzka Salome, porywam cię w czarnym, więziennym mroku wieków za pyszne, kasztanowate włosy, i wyschłemi z żaru żądzy, stęsknionemi wargami piję z ust twoich, śmiertelnie pobladłych, obłędną rozkosz strasznego, potępieńczego pocałunku!...

A biały, skrwawiony kadłub, boski Sezam twego nagiego ciała, leży tam... w ciemnym kącie celi... (*widzę* go w jakimś próchnowym, fosforycznym poblasku Zaświata...) ...a jego klasyczne, rzeźbione kształty zalewają szałem krwi moje obłąkane oczy!...

Ze strasznym krzykiem grozy wydzieram się z tej straszliwej, czarnej katowni — celi niby z czarnej, ołowianej trumny, i pędzę bezprzytomnie, obłędnie przed siebie, budząc w tych ciemnych, kamiennych omszałych sklepieniach uśpione tutaj od wieków, jakieś ponure, zbrodnicze, mordercze echa!

Wacław Wolski.

Wywołało to pewien huczek, lecz konserwatyści nie mogąc się obejść bez poparcia klerykałów pogrzebali sprawę. Domagała się prawa rozwodowego symboliczna Franmasonerya[5]) przez usta posła socyalistycznego di Borgo San Donnino, Agostino Berenini, ale choć większość izby stanowili masoni, nie uchwalono go. W łozy *Universo* w Rzymie, nie chciano o niem słyszeć. (Czyt. Paolo Orano „Massoneria e Socialismo"). Prawda, że „dzieci Wdowy" zmieniły ciało i duszę od czasu gdy masowe wygnania oczyściły teren, nie zmienia to jednak historycznego faktu, że we Włoszech jak i w innych krajach, loże masońskie liczą wśród swych członków wielu ministrów i posłów konserwatywnych, którzy opierają na nich swoje wpływy, a w antyklerykalizm stroją się tylko od święta.[6])

Te i tym podobne fakty tłomaczą nam długowieczność ministeryów i popierających je stronnictw. W wyborach nie przyjmują bynajmniej udziału wszyscy zapisani na listach wyborczych. Nawet gdy chodzi o stoczenie decydujących walk, zaledwie połowa, w innych wypadkach czwarta część staje do urny.

Wspomniałem, że przy pomocy posłów działających w imieniu koteryi i interesów prywatnych, ludzi mniej więcej wpływowych w Rzymie, reakcyoniści wprowadzili w życie reformy wsteczne, prawa skierowane przeciw ludności roboczej. Świetne przedsięwzięcia kolonialne Crispi'ego, prądy antyfrancuskie, roztrwonione bezużytecznie w ciągu trzydziestu lat miliardy na armię i marynarkę, skandale polityczne i sądowe, polityka zagraniczna czyniąca Włochy odbiciem ich ministeryów, dwulicowość, serwilizm względem maryonetek o stu zawodach, brak wszelkiej opieki dla Włochów w obcych krajach, gdzie — wyznajmy — są niemal wszędzie znienawidzeni — słowem, nic z tego, co mogłoby imię Włoch podnieść (wszakże ci panowie mienią się „patryotami"?) oto kwiaty z wieńca ich sławy.

Służalczość cechuje ich nawet wobec wczorajszego zawziętego wroga—Watykanu. Wszakże przyjęli otwartemi rękami całe stado kruków wygnanych z Francyi, a gdy dziś w prasie ktokolwiek zechce krytykować religię lub jej funkcyonaryuszy w sposób śmielszy, trybunały włoskie stają po stronie biskupa cudzoziemca, który w imieniu państwa oskarża wydawnictwo drukowane w jego dyecezyi.

Może ten obraz wyda się przeczerniony, ktokolwiek jednak próbował go przemalować na biało lub różowo, przekonywał się, że farba się nie trzyma. Jeśli kiedykolwiek politycy sentymentaliści (blok naprzykład) dorwali się jakiejś cząstki administracyi publicznej, ich dobre chęci rozbijały się o nieprzełamane zapory z góry lub z dołu i byli zmuszeni ustąpić ludziom wybranym przez ich dawniejszych wyborców. Ci ostatni bowiem nie rozumieją się na administracyi, widzą tylko praktyczne rezultaty, a przeszkody i skrupuły — słusznie czy nie — poczytują za blagę.

Konserwatyści do niedawna dzielili się na dwie frakcye: liberałów i umiarkowanych czyli liberałów antyklerykalnych i reakcyonistów, antyklerykalnych katolików. Pierwsi z leciutkiem demokratycznem zabarwieniem (obiecywali wiele), drudzy zapaleni miłośnicy dyscypliny wojskowej w całej rozciągłości i we wszystkich dziedzinach życia społecznego (uczniowie Bismarcka z 64 r.) antyklerykalni dla formy, 20 września, a nazajutrz katolicy.

Między jednymi i drugimi zachodziły częste nieporozumienia zakończone ostatecznem zerwaniem dla przyczyn, które wyjaśnię mówiąc o radykałach.

Są wśród nich ludzie nienaganni, których można policzyć na palcach; to reakcyoniści czystej wody.

Sonnino np. i jego przyjaciele, Rudini i inni, tworzą w izbie grupę osobną bardzo poważną złożoną z ludzi oświeconych, czasem, nie zawsze zdradzających trafne zrozumienie rzeczy. Zajmują centrum izby i przeważnie głosują za rządem.

Ministeryum Sonnino ze współudziałem radykała Sacchi (ministra sprawiedliwości i republikanina Pantano (minister robót publicznych) w ciągu kilku miesięcy swych rządów dokonało dzieł cennych, na które nigdy nie byłyby się odważyły dawniejsze ministerya, a które stały się przyczyną jego upadku. Zniesienie konfiskaty prewencyjnej dzienników przeprowadzone przez Sonnino a rozszerzające wolność prasy, dzięki Fortisowi i Giolittiemu stało się dziś czystą ironią. Nie konfiskując egzemplarzy dziennika, władze nawet za bagatelne artykuły pociągają do odpowiedzialności redaktora i zaznajamiają go z rozkoszami życia więziennego, o ile za granicę nie umknie.

Ministeryum Sonnino było przyczyną nieszczęść Henryka Ferri, który zdała od Rzymu pierwszy opublikował wiadomość o zainstalowaniu się Sonnina w gmachu ministeryalnym. Socyaliści popierali ten gabinet, Fortis i Giolitti obalili go niespodziewanem głosowaniem.

Inni umiarkowani zgotowawszy sobie upadek przez niefortunne sojusze z klerykałami utorowali drogę nieokreślonemu kierunkowi dzisiejszego ministeryum. Giolitti—ze swem charakterystycznem hasłem: „ani reakcyi ani rewolucyi" szuka oparcia gdziekolwiek je znaleźć może. Prawica i lewica, centrum—wszystko mu jedno byle tekę zatrzymać. Wydobył on na widownię różne zera polityczne np. Szancera, którego ignorancya jako ministra poczt i telegrafów osławiła się w kraju i zagranicą. Urzędownie umył ręce od sprawy Nasiego, który miał i wielką ochotę i niezłe widoki do objęcia prezydyum rady.

Rok 1898 pełen krwawych epizodów, wyroków na posłów, był w gruncie rzeczy ratunkiem zamierającej demokracyi, która utworzywszy blok z (konającą również) partyą republikańską i socyalistami wysłała do izby oraz do rad prowincyonalnych dzielnych ludzi i gdzieniegdzie, np. w Medyolanie, odniosła świetne zwycięstwa.

Rok 1898 będzie w dziejach polityki włoskiej czerwoną kartę. Na niej zapisały się Banca Romana — Giolitti, afrykańska kampania Crispiego, Rudini (zwany lady Macbeth), Pelloux i t. d. karta pamiętna na przyszłość przez swe daty, cyfry i wypadki...

Gdy blok upajał się odniesionemi na północy zwycięstwami, na południu mafia rozpościerała swe panowanie, a konserwatyści znaleźli na nowo (1905) w Giolittim swego Lohengrina uzbrojonego w swe znane hasło, a płynącego — zamiast łabędzia—na barce ś-go Piotra. Epoka pełna zagadek i chaosu rozpoczęła się znowu z pełną aprobatą bloku, który przez nieuzasadnione obawy powściągał wszelki ruch mogący, jak strejk kolejowy 1904 roku, przyczynić się do upadku odważnego męża, który już raz wobec komisyi ankietowej, umknął do ojczyzny Hardena.

Zbawca Giolitti kilkakrotnie już uratował sytuacyę i zdobył wdzięczność ocalonych.

Przed kilku miesiącami powstała nowa partya „ekonomiczna", partya szara, nie prawa, nie lewa, nie środkowa — po prostu ministeryalna. Nie lubi ona polityki, strejków, materyalizmu historycznego, Marxa, Lassalla — nienawidzi Sorela i towarzyszy. Kupcy korzenni i handlarze win miłujący spokój, dobre trawienie, morskie kąpiele latem, a jesienią letnie mieszkania— składają jej główne siły — wogóle bardzo skromne. W Medyolanie, jej głównem siedlisku, już się zaczęły rozterki. Katalicy wyłowią jej szczątki.

Pericle Maruzzi.

Z dni słowiańskich w Pradze.

([illegible])

Po głosie p. Straszewicza przemówili Bułgar prof. Bobczew, oraz Chorwat Radicz, którzy gorąco wypowiedzieli się za koniecznością rozwiązania sprawy polskiej, bez czego o znaczeniu konferencyi słowiańskich myśleć niepodobna.

Radicz jednocześnie zarzucił Rosyanom kosmopolityzm, twierdził, że nie mają oni żadnej świadomości słowiańskiej i że ich urzędnicy biurokraci nie są zgoła zdolni do wcielenia w życie idei słowiańskiej.

Znany p. Wergun uznał za właściwe odpowiedzieć Radiczowi, a przy tej sposobności podniósł jedność Rosyan w Austro-Węgrzech i w Rosyi. Dodał on jedność polityczną, lecz pod wpływem protestów ze strony delegatów rosyjskich zastąpił wyraz „polityczna" przez „kulturalna". Dodał przytem, że nietylko Polacy, lecz i Rosyanie z Galicyi, ze względu na nieprzyjazne warunki, nie będą mogli ujawnić w całej pełni swego geniuszu na wystawie słowiańskiej.

Delegaci polscy z wyjątkiem narodowych demokratów, uważali za niezbędne odpowiedzieć na słowa Werguna. Jakoż zabrał głos ludowiec d-r Grek i oświadczył, że obecnie naród ma prawo sam swoją odrębność narodową zaznaczyć i określić. To też Rusinom w Galicyi służy pełne prawo zaliczenia siebie do tej czy innej narodowości i Polacy nie chcą i nie mogą mieszać się w te sprawy wewnętrzne narodu ruskiego w Galicyi. „Polacy, — dalej mówił d-r Grek — uważają naród ruski za zupełnie równy narodowi naszemu i żadnych trudności na żadnem polu czynić nie chcą". Słowa te wywołały burzę oklasków, a zakończył mówca swoje oświadczenie następującemi słowami; „uważam za stosowne i to na tem miejscu stwierdzić, że żałujemy, iż na tym Zjeździe, opartym na zasadzie równości, nie możemy się z nimi porozumieć. Jesteśmy gotowi to uczynić mimo strasznej krzywdy, jaką nam z tamtej strony w ostatnim czasie wyrządzono. Panowie wiecie, co mam na myśli. Ta tragedya stała się nie w interesie słowiaństwa, lecz Prus".

Na to odpowiedział Dudykiewicz, adwokat z Kołomyi, że z przyjemnością wysłuchał słów d-ra Greka, że Polacy do spraw wewnętrznych narodu ruskiego mieszać się nie będą, lecz stwierdzić musi, — dodał — że w Galicyi żyje ten sam naród rosyjski, co i w całej Rosyi.

Już po mowie p. Straszewicza członkowie delegacyi rosyjskiej — co dla nikogo nie było tajemnicą, — używali wszelkich środków, aby skłonić przywódcę Rosyan p. Krassowskiego, członka Rady państwa z wyborów, październikowca, do złożenia

[5]) Franmasonerya regularna we Włoszech podlega dwóm władzom „Radzie najwyższej„ o 33-ch st. (obrządek szkocki) i Wielkiej loży włoskiej, obrządek symboliczny o trzech tylko stopniach. Pierwsza powstała w Palermo 1862 a druga w Turynie 63 r. Loże symboliczne są demokratyczniejsze i członkowie partyj skrajnych chętniej do nich wstępują niż do „szkockich", których hierarchia wytwarza pewien arystokratyzm. Podczas dyktatury Crispi'ego nastąpił w masoneryi rozłam, który potem zakończył się pojednaniem, przyczem jako [illegible] wydalenie reakcyonistów.

[6]) Giolitti nie mogąc masoneryi opanować wzbudził niesnaski w Radzie 33-ch. Wielki Komandor nadużył swej władzy i nie dopuścił do wyborów Wielkiego Mistrza obrządku braci demokratów.

deklaracyi, w duchu dla Polaków przychylnym. Wreszcie udało im się p. Krasowskiego skłonić i ten zabrał głos.

Powiedział, że delegaci rosyjscy z zadowoleniem wysłuchali mowy p. Straszewicza, że uznają istnienie przeszkód do rozwoju narodowego i kulturalnego Polaków i że dlatego starać się będą, aby te przeszkody i tamy usunąć. Dodał dalej, że Rosyanie sami dotąd znajdowali się w wielce niekorzystnych warunkach i że wierzy, odkąd obudziło się w Rosyi sumienie narodowe, iż stosunki ulegną zmianie i Polacy zyskają warunki dla siebie pomyślne. Nadmienić trzeba, że przez sumienie narodowe mówca rozumiał Dumę.

Mowę przyjęto oklaskami. Po wyczerpaniu dyskusyi przystąpiono do głosowania nad sprawą wystawy. W głosowaniu postępowcy rozdzielili się. P. Lypacewicz głosował przeciwko, natomiast pp. Doboszyński, Grek i Konic głosowali z zastrzeżeniem w przekonaniu, że do r. 1911 t. j. terminu wystawy w Moskwie warunki powinny odpowiednio się zmienić. W gruncie rzeczy przeto między temi głosowaniami różnicy nie było, bo i to drugie było warunkowe, a więc nikogo nie obowiązujące.

Po za tem sprawę wystawy rozpatrzeć ma komitet specyalny, złożony z przedstawicieli wszystkich narodowości. Komisya ta zebrać się ma w grudniu r. b. w Warszawie celem ostatecznego rozpoznania wniosku. Tegoż dnia dyskutowano nad sprawą turystyki. Imieniem Polaków przemawiał prof. Rydygier, który zwrócił uwagę na przeszkody, tamujące rozwój turystyki, jako paszporty, komory celne i t. p.

Postępowcy w obradach tych i następnych udziału nie brali, gdyż cała ich obecność na Zjeździe była warunkowa do czasu spełnienia się warunku, postawionego przez p. Straszewicza t. j. wydania przez Zjazd uchwały w zasadniczej sprawie praw poszczególnych narodów słowiańskich. Ta okoliczność była również motywem dla większości postępowców, gdy za warunkowem uczestniczeniem w wystawie głosowali. Gdyby bowiem żądanie delegacyi polskiej przez Zjazd nie było przyjęte, to byliby postępowcy przeciwko całemu Zjazdowi wogóle, a tem samem przeciwko wszystkim jego uchwałom zaprotestowali.

Na następnych posiedzeniach konferencyi, a mianowicie w d. 16 i 17 lipca toczyły się obrady nad sprawami banku słowiańskiego, sokolstwa, związku kulturalnego oraz nad potrzebą zwiedzania gospodarstw rolnych na ziemiach słowiańskich. O kwestyach tych szeroko rozpisywały się dzienniki; dlatego też nie będziemy ich tutaj powtarzali. Nadmienimy tylko, że w każdym przedmiocie obok sprawozdawcy przemawiali delegaci polski i rosyjski, a także niekiedy reprezentanci innych narodów słowiańskich. Mimochodem wspomnimy, że do najnieudatniej zreferowanych należała sprawa banku słowiańskiego. Ani referent d-r Preiss, ani delegaci rosyjski i polski przedmiotu tego nie zgłębili dostatecznie i nie zdołali go opanować. Broszurę o banku słowiańskim napisano z bardzo małą znajomością rzeczy.

Oprócz przytoczonych wyżej kwestyi poruszono sprawę założenia agencyi telegraficznej słowiańskiej. Że agencya taka byłaby wielce pożądana, to chyba dowodzić nie potrzeba. Możeby się ona przyczyniła do prostowania fałszów nietylko wśród nie-Słowian...

Kulminacyjnym punktem obrad był ostatni dzień zjazdu w d. 18 lipca. Posiedzenie to rozpoczęło się od dyskusyi nad sprawą utworzenia komitetu wykonawczego, który ma się zająć wprowadzeniem w życie uchwał konferencyi oraz urządzeniem następnego zjazdu.

Do komitetu tego wejść mieli według projektu d-r Kramarza, popartego przez delegacyę rosyjską po dwóch przedstawicieli od Czechów, Polaków i Rosyan, po jednym od pozostałych narodów słowiańskich a nadto jeden Rosyanin od Halickiej Rusi; nie zastrzeżono natomiast miejsca dla delegata Rusinów.

Ze strony postępowców zabrał głos p. Lypacewicz i oświadczył, że wobec przyjęcia zasady przedstawicielstwa narodów, a nie terroryów, nie można robić jednostronnych wyjątków, ustanawiając delegata od Galicyi Wschodniej.

Wychodząc z uznanych przez Zjazd zasad wolności wszystkich narodów słowiańskich, zażądał p. Lypacewicz, ażeby dla przedstawicieli Ukraińców czy to z Galicyi czy z Rosyi, ze względu na to, że ci się za odrębny naród uznają, zastrzeżono miejsce w komitecie.

Uwaga ta nie podobała się wielu obecnym, a d-r Kramarz oświadczył, że skoro Rusini na Zjazd nie przybyli i od współdziałania ze Słowianami się uchylili, to niepodobna nieobecnych do komitetu wybierać. Ze strony polskiej stanowisko postępowców aprobowali przedstawiciele Galicyi. Mimo to trafne i wielce polityczne żądanie p. Lypacewicza znalazło częściowe uwzględnienie. Odstąpiono od niefortunnego pomysłu delegata od Galicyi Wschodniej a nadto polecono komitetowi wykonawczemu, aby się tą sprawą zajął i zawiązał z Rusinami rokowania celem zjednania ich dla całej sprawy. Bodajby ta decyzya zjazdu nie była podstawą tylko do formalnego załatwienia ważnej tej kwestyi. Niechaj komitet wykonawczy do rzeczy tej weźmie się z istotną chęcią wprowadzenia jej na tory realne. Liczymy na postępowych członków komisyi pp. Doboszyńskiego i Greka, że nie pozwolą sprawy zbagatelizować.

Oprócz nich dwóch, z których pierwszy został członkiem, a drugi zastępcą ze strony Polaków, do komitetu weszli pp. Dmowski i prof. Zdziechowski, jako członkowie oraz pp. Stecki i Straszewicz, jako zastępcy. Obok wcielenia w życie rezolucyi pierwszej konferencyi słowiańskiej, komitet zająć się ma tworzeniem komitetów wzajemności słowiańskiej z oddzielnemi sekcyami: kulturalną, ekonomiczną, turystyczną, informacyjna, sokolską i dziennikarską.

Gdy przyszło do uchwalenia czasu i miejsca drugiej narady ze strony prezydyum zaproponowano 1909 rok oraz Petersburg, jako miejsce zjazdu. Postępowcy z Królestwa zastrzegli, że, ich zdaniem, niepodobna w tej chwili jednego i drugiego uchwalać. Najwłaściwszą jest rzeczą sprawę tę poruczyć komitetowi wykonawczemu. Nie oponują, dodali, ani przeciwko przyszłorocznej konferencyi, ani przeciwko Petersburgowi, jako miejscu narady; wszakże sądzą, że niepodobna twierdzić, czy warunki polityczne zmienią się do tego czasu tak, aby umożliwić zwołanie narady w granicach państwa rosyjskiego. Mimo tej uwagi wniosek prezydyum przeszedł wszystkimi głosami przeciwko dwom.

Przypuszczać należy, że ta uchwała nie może krępować komitetu wykonawczego. Chyba bowiem nikt nie zwoła konferencyi do Petersburga, jeśli do tego czasu nie będą zniesione stany wojenne, ochrony i t. p.

Po wyczerpaniu porządku dziennego przystąpiono do obrad końcowych. Pierwszy zabrał głos delegat rosyjski Krasowskij i zaproponował następującą rezolucyę:

„Zjazd słowiański uznaje żywotność i owocność idei ogólno-słowiańskiego zjednoczenia oraz uważa za niezbędne do tego usunięcie niezgod i nieporozumień pomiędzy narodami słowiańskimi, co może być uskutecznione jedynie przez powszechne uznanie i zastosowanie zasad równouprawnienia; swobodnego rozwoju każdego narodu, uznanie jego odrębności kulturalnych i narodowych".

Z kolei przemówił Dmowski. Przemówienie to znane z dzienników powtarzamy, aby podkreślić i zaznaczyć, jak giętkie są „przekonania" przywódcy Narodowej Demokracyi, i jak potrafił on śmiało wypowiedzieć to, przeciwko czemu stale oświadczało się jego stronnictwo. A dla stronnictwa tego nawet autonomia, nawet łączenie się z żywiołami wolnościowemi—było znienawidzoną ugodą.

Ustęp najważniejszy, wywołany zresztą, jak wiadomo, żądaniem Rosyan, brzmiał w sposób następujący:

„Naród polski, podzielony pomiędzy trzy państwa, w każdem z nich pracuje nad swym rozwojem narodowym i kulturalnym, oraz walczy o zdobycie warunków dla pełni tego rozwoju, nie kierując tej walki przeciwko państwu, jako takiemu, ale jedynie przeciwko systemowi politycznemu, który nasz rozwój tamuje. W państwie austryackiem, gdzie posiadamy pomyślne warunki narodowego życia i gdzie nasz patryotyzm polski nie spotyka prześladowania, Polacy stanęli narówni z innemi ludami, jako obywatele tego państwa wolni, dbali o jego pomyślność, rozwój i potęgę zewnętrzną. I w państwie rosyjskiem, gdzie wytężamy wszystkie siły, by osiągnąć warunki rozwoju narodowego, naród nasz stoi na gruncie przynależności do tego państwa i uznania potrzeb ogólno-państwowych, żywiąc głębokie przekonanie, że Rosya odnowiona, oparta na prawie i uznająca prawa innych narodów, w szczególności zaś polskiego, oprze na tych prawach swoją siłę i będzie państwem potrzebnem nietylko narodowi rosyjskiemu, ale i polskiemu oraz całej ludzkości. Ten postęp Rosyi jest głównym warunkiem pomyślnego rozwoju całej sprawy słowiańskiej".

Po dwóch tych głosach przemówił d-r Kramarz podkreślił doniosłość obu mów i wyraził przekonanie, że Zjazd jednogłośnie zaprojektowaną rezolucyę przyjmie. Oklaski powszechne były odpowiedzią na wniosek prezesa.

Z kolei przemawiali jeszcze Serb wiceprezes Zjazdu, pp. Konic (którego głos przytoczyliśmy w poprzednim numerze), Lwow i prof. Zdziechowski.

Tak tedy wbrew przewidywaniom, Zjazd przyjął uchwałę, która mu nadała piętno wybitnie polityczne. Pomimo usiłowań aby zamknąć obrady w ramach kulturalnych t. j. nic, albo niewiele mówiących, konferencya siłą rzeczy wysunęła na pierwszy plan tę sprawę, była ta ostatnia osią przemówień, była treścią i celem Zjazdu. Wszystko inne posiadało i posiada znaczenie drugorzędne.

Jeśli zechcemy uogólnić rezultaty Zjazdu to przedewszystkiem podkreślić musimy to, co przyznają jednogłośnie wszyscy, że tylko dzięki udziałowi postępowców Zjazd stał się tem, czem stać się był powinien t. j. zebraniem politycznem i że z kolei postępowcy energiczną swoją podstawą zmusili delegatów do wypowiedzenia się w sprawie polskiej, do oświadczenia, że nie może być mowy, o równości ludów słowiańskich bez zadosyćuczynienia uprawnionym żądaniom naszego narodu.

Rosyanie też przedewszystkiem, wraz z nimi inni uczestnicy Zjazdu musieli w konsekwencyi dojść do następujących wyników, 1-o że dawny panslawizm ostatecznie pogrzebany został, 2-o że łączność słowiańska bez udziału Polaków istnieć nie może, czyli że wszelkie zakusy zjednoczenia Słowian poza Polakami są mrzonką; 3-o że wreszcie i to najważniejsze, bez załatwienia sprawy polskiej, idea solidarności słowiańskiej ostać się nie może.

Lecz obok tych zdobyczy ogólnych, Zjazd posiada inną wartość, wartość wewnętrzną już tylko dla naszego kraju, choć to może wydaje się dziwnem. Konferencya zgotowała bankructwo dla osobistej polityki p. Dmowskiego i jego popleczników. I w Petersburgu i w pierwszej swej mowie na Zjeździe praskim p. Dmowski nazwał sprawę polską sprawą słowiańską bez zastrze-

żeń. Konferencya przekonała, że sprawa polska jest sprawą słowiańska o tyle, o ile do rozwiązania pierwszej zastosowane będą hasła wolności, równości i całkowitego poszanowania nietykalnych praw każdego narodu słowiańskiego.

P. Dmowski dalej, wobec przyjętych zobowiązań w Petersburgu i wobec wyższych celów dyplomatycznych, chciał nadać konferencyi tylko charakter kulturalny, bronił się przeciwko zabarwieniu politycznemu, uznał zaś za wystarczające ogólnikowe wyrazy Kramarza. Delegacya polska wyłamała się z pod nacisku p. Dmowskiego i zażądała wyraźnej uchwały, a delegacya rosyjska do tego się przychyliła.

To bankructwo polityki p. Dmowskiego jest bardzo pouczające. Przekonywa ono, że wszelka dyplomacya, wszelka nieszczerość w takich stosunkach, w jakich my się znajdujemy, są zgubne często dla sprawy polskiej.

X. Y. Z.

NA DOBIE.

O pruskich Polaków.

Słowo poświęca dwa artykuły wstępne obronie Poznańczyków, których ośmielono się nazwać w prasie polskiej „pruskimi Polakami".

Autor artykułów, pan M. W., stawia najprzód pytanie, dlaczego cudzoziemcy wogóle, a Niemcy w szczególności sławią dzielność i odporność Polaków z pruskiego zaboru, ich zabiegliwość ekonomiczną i zdolności gospodarskie, Polacy zaś z innych dzielnic malują społeczeństwo tamtejsze czarnemi kolorami.

Opinie Niemców sam zresztą dość trafnie oświetla. Wszystko co się mówi dla podkreślenia odporności żywiołu polskiego, służy tendencyjnie do wzmocnienia nacisku niemczyzny i stygnącego zapału hakatystycznych „kulturtraegerów".

To, co piszą o nas cudzoziemcy — zapewne Pan M. W. przyzna — nie jest czerpane z bezpośredniej obserwacyi, gdyż korespondenci angielscy, francuscy i włoscy nie krążą po Poznańskiem, lecz ze źródeł niemieckich.

Polacy zaś omawiający stosunki poznańskie i oświetlający je ponuro mają możność bezpośrednio śledzić wszystkie objawy społecznego, politycznego i umysłowego życia i zaiste nie mogą stąd wynosić wrażeń radosnych.

Nikt nie zaprzecza szybkiego i pomyślnego rozwoju spółek zarobkowych, kas pożyczkowych, banków ludowych. Jestto bezwarunkowo objaw pomyślny, który z jednej strony tłumaczy się zupełnie jednostronnem skierowaniem patryotyzmu na teren czysto materyalnych zabiegów w myśl zasady „enrichissez vous" — z drugiej pomyślnemi konjunkturami ekonomicznemi, w czem nie małą rolę gra z jednej strony polityka celna agraryuszów, z drugiej — miljon komisyi kolonizacyjnej.

Pieniądz jest płynny i izolować się nie da. Nawet najtendencyjniej rzucane w pewien obszar kraju miliony krążą z kieszeni do kieszeni, zostawiając wszędzie pewien złoty osad. Właśnie dzieje ekonomiczne Poznańskiego w ostatnich 20 latach są tego bardzo ciekawym i pouczającym dowodem. Idyotyczne eksperymenty gospodarcze Bismarcka i bismarkistów same w znacznej mierze spotęgowały opór, o który się łamią.

Nie mniejsza to zasługi tych ludzi, którzy pomyślne okoliczności wyzyskali dla wzmocnienia żywiołu polskiego, jest jednak jeszcze wątpliwą rzeczą, czy budowa stworzona przez nich przetrzyma napór mniej przyjaznego prądu.

Zasoby materyalne danej grupy ludności tylko w takich razach nabierają znaczenia narodowego—a nie prywatnego bogactwa—o ile służą istotnie dobru ogółu, sprawie narodowej, rozwojowi wszechstronnej narodowej kultury. Fakt, że się ktoś dorobił jako ziemianin, kupiec, chłop czy fabrykant, jest z punktu widzenia społecznego zjawiskiem obojętnem póty — póki zdobyta siła ekonomiczna nie służy zadaniom kulturalnym. Nawet gdy materyalny dorobek rozkłada się na szerokie warstwy ludności a rezultatem jest tylko wzmożona konsumcya piwa, wódki, absyntu — nie można mówić o społecznych korzyściach i społecznych zasługach.

Niestety — właśnie w Poznańskiem istnieją w tej mierze bardzo błędne pojęcia, które zgubny wpływ wywierają na sprawy publiczne. Wiemy, że wobec ustawy o wywłaszczeniu patryotyzm miejscowy nie umiał się zdobyć na inne hasła niż „targujcie się do upadłego".

Wiemy też aż nadto dobrze, jak nieproporcyonalnie małe w stosunku do wydatków prywatnych są tam wydatki na cele publiczne i jak każda instytucya miejscowa stale apelowała do ofiarności zakordonowych patryotów, natomiast żadna zakordonowa nigdy poparcia materyalnego ze strony Poznańczyków nie doznawała.

Wspomniany przez p. M. W. Górny Szlązk bynajmniej nie odrodził się pod wpływem tego odłamu narodu polskiego, lecz wbrew jego niemądrej polityce, która długi czas — z obawy drażnienia rządu — uroczyście odżegnywała się od wszelkiej wspólności z ruchem polskim na Górnym Szlązku, a nawet potępiała go publicznie (Ks. dr. Jażdżewski) w parlamencie. Pierwsi posłowie Polacy z Górnego Szlązka nie zostali wcale przyjęci do Koła polskiego lecz pozostawieni w centrum, — a przyjęcie Korfantego nastąpiło nie bez opozycyi. Dopiero gdy duchowieństwo Górno-szlązkie rozpoczęło ostrą akcyę germanizacyjną, a pod jej wpływem lud polski coraz oporniejszym się okazywał, gdy niebezpieczeństwo agitacyi polsko-socyalistycznej przeraziło naszych klerykałów, uznano polityczną konieczność solidaryzowania się z akcyą Korfantego, poparcia go przy wyborach przeciw Polakowi, socyaliście Morawskiemu.

Dość liczna później emigracya inteligencyi wielko-polskiej na Szlązk w znacznej części tłumaczy się również względami zarobkowemi. Hasło „swój do swego" było obiecujące dla polskich lekarzy, adwokatów, kupców, którzy już wiedzieli, że mają na czem oprzeć swą egzystencyą.

Podobne zjawisko nietylko zresztą na Szlązku zauważyć można. Za masami ludu roboczego ciągnie drobnomieszczaństwo do Berlina i Westfalii naprzykład, czując, że tam materyalne oparcie znajdzie.

Korfanty—jak każdy poseł robotników—musi bronić interesów ludności roboczej. Inaczej nie wytrzymałby w przedwyborczej kampanii konkurencyi z kandydatami innych stronnictw, w szczególności socyalistów.

Koło polskie nietylko „zieje nienawiścią przeciw wszystkiemu co trąci liberalizmem", lecz odtrąca najpożyteczniejsze nawet sojusze, o ile są czerwone, (nie przyjęło podpisów socyalistycznych pod interpelacyą wrzesińską, lecz kosztem złagodzenia jej wolało się uciec do centrum), natomiast — wbrew swym interesom narodowym, popiera pokrewne duchem reakcyi antypolskie stronnictwa. W ostatnich wyborach do sejmu — konserwatyści czyli hakatyści — zawdzięczają poparciu Polaków i centrum kilka mandatów w Prusach zachodnich. Fakt niebywały dotąd, który u nas zrobił trochę wrażenia, poparcie wniosku socyalistów przy otwarciu sejmu pruskiego przez kilku Polaków, został starannie przemilczany przez prasę poznańską, jako kompromitujący, a zgromadzenia socyalistyczne przeciw ustawom antypolskim wywołały oburzenie i potępienie w prasie poznańskiej.

To są fakty.

Tajemnica „gwary" poznańskiej coraz mniej podobnej do czystej polszczyzny tłumaczy się poprostu tem, że język polski, o ile nie jest tam zredukowany do roli agitacyjnej, dotąd nie cieszy się ani rzetelną czcią, ani przywiązaniem naszych rodaków. Spotkać się tam nawet można ze zdaniem, iż obowiązkiem narodowym Polaków, jest jaknajlepiej i jaknajwcześniej uczyć dzieci po niemiecku — żeby im ułatwić życie i uchronić od prześladowań, ale nie słyszy się, aby przyswojenie sobie jaknajpoprawniejszej polszczyzny warte było zachodów i ofiar, aby np. rodzice polscy zamożni decydowali się opłacać dla swych dzieci prywatną naukę języka polskiego (wcale nie wykładanego w szkołach). Pod tym względem zresztą w ciągu ostatnich dziesięciu lat cośkolwiek zmieniło się na lepsze. Wówczas nawet bezpłatna nauka, nawet zbiorowe samokształcenie się młodzieży gimnazyalnej poczytywano za karygodną lekkomyślność że rodzaj zdrady narodowej—t. j. narażanie karyery młodzieży (interes materyalny — a patryotyzm, to jedno) i w czasie pamiętnego procesu gnieznieńskiego kilkudziesięciu ojców opublikowało zbiorowy protest przeciw tworzeniu się uczniowskich kół samokształcenia. Pamiętajmy, że strajk szkolny ogarnął tylko szkoły elementarne (bezpłatne) a skończył się, gdy jego następstwa zaczęły spadać i na młodzież szkół średnich również uczącą się religii po niemiecku, lecz traktującą naukę jako drogę do karyery. Niestety—nasz język ojczysty doznaje wszędzie skażenia skutkiem znanych czynników politycznych (obce szkoły), ale jedni Polacy czują to i z tem walczą, inni nie. Do tych ostatnich, aż do najświeższych czasów należeli Poznańczycy. Chcemy wierzyć, że to się zmieni.

Nigdy nie zdarzyło mi się słyszeć, aby jakiekolwiek wydawnictwa poznańskie (w ciągu ostatnich lat 25-ciu), zwłaszcza zaś naukowe, były „wysoko cenione" poza granicami Poznańskiego. Przeciwnie, roczniki Towarzystwa przyjaciół nauk np. budziły bolesne politowanie tam, gdzie były znane t. j. w kołach naukowych galicyjskich. Nawet bez sekcyi kulturalnej Straży, która jest w oczach tych wszystkich co znają miejscowe stosunki, tylko drugim grzybem w barszczu, posiada Poznańskie aż nadto bardzo dobrze pomyślanych i zorganizowanych instytucyi kulturalnych i oświatowych wszelkich stopni, począwszy od Towarzystwa przyjaciół nauk do Czytelni ludowych, ale wszędzie niestety — panuje ten sam duch wstecznictwa, ospałości i wzajemnej adoracyi, który je doprowadza do absolutnego bezwładu i zupełnej bezprodukcyjności.

W życiu umysłowem narodu nietylko nie gra Poznańskie roli wytwórcy, ale nie jest nawet konsumentem, którego możnaby brać pod uwagę. Możnaby to udowodnić cyframi zebranemi wśród wszystkich wydawców polskich, a okazałoby się, że prócz „Wiadomości Salezyańskich" „Dzwonków Częstochowskich" i t. p. wydawnictw żadne inne na poważniejszy zbyt w tej dzielnicy nigdy liczyć nie mogą. Wyjątek stanowić mogą tylko głośne powieści — zwłaszcza o ile je poprzedziło echo wywołanego przez nie zgorszenia. I tu znów zaznaczę, iż pewne korzystne zmiany w kierunku czytelnictwa, rozpoczęły się wtedy, gdy istotni patryoci polscy—a nawet wielko-polscy — zaczęli „sercem gryźć" poznańską Beocyą i obnażać jej rany przed resztą polskiego społeczeństwa, gdy ten lub ów zain-

teresowany tym czarnym obrazem, pojechał przekonać się na własne oczy i mimo gościnnego (sutego) przyjęcia wracał przygnębiony tem co zobaczył.

Żywszy ruch umysłowy zaczął się i wtedy, gdy sprawa „bojkotowania" i „ogładzania"—ludzi przekonań radykalnych stała się aż tak głośną, że zabrał w niej głos publicznie w liście otwartym ś. p. Piotr Chmielowski. Czy pan M. W. nie zna tej sprawy, iż z dziwną śmiałością przeczy istnieniu takich ogólnie znanych faktów, zresztą bynajmniej nie odosobnionych? Pan M. W. widocznie nie jest Anglikiem, gdyż, jak powiada: „Anglik wypowiada zdanie tylko o rzeczach, o których jest doskonale poinformowany". Ostrzeganie władz pruskich przed nieprawomyślnymi Polakami nie jest również sekretem. Niżej podpisana może służyć schowanemi na pamiątkę wycinkami z gazet, które się tej roli podejmowały.

Jeżeli p. M. W. poczytuje umieszczanie panien wielkopolskich na pensyach galicyjskich za dowód łączności kulturalnej z narodem, to dodam, że taką samą łączność kulturalną utrzymuje się z innemi krajami, o ile w nich są klasztory choćby niemieckie.

Temat to smutny wogóle a tak bogaty, że możnaby nim książkę wypełnić. Dodam jeszcze raz i podkreślę, że źle służy swemu narodowi, w tym wypadku rodakom z pruskiego zaboru kto ich błędy przemilcza — a tembardziej apoteozuje. Samochwalstwo i manja wielkości gubi nawet silne narody, a samochwalstwo właśnie kwitnie w tej nieszczęsnej dzielnicy. Zaślepienie jest większą klęską niż hakatyzm; Polacy Poznańscy będą nie tem, czem ich Niemcy zrobią, lecz czem się staną sami. Tylko samokrytycyzm może ich żywotność rozbudzić, a odporność spotęgować, odrzucanie ich zatem kadzidłami pochlebstw jest istną niedźwiedzią usługą.

I. Moszczeńska.

* *
*

Dnia 28 b. m. wieczorem odbyło się w lokalu Polskiego Zjednoczenia postępowego zebranie członków stronnictwa, na którem delegaci zdawali sprawę ze Zjazdu w Pradze. Mimo gorącej pory i martwego sezonu zebrało się dość liczne grono osób. Szczegóły sprawozdania, znane zresztą z prasy codziennej, podajemy według notatek naszych delegatów na innem miejscu. Ożywiona dyskusya, która uzupełniła je wyjaśnieniami, przeciągnęła się długo i świadczyła o żywem zainteresowaniu się członków działalnością partyi.

Nauka i wychowanie.

Szkoły racyonalistyczne w Hiszpanii

Hiszpania oddawna pozostawała w cieniu europejskiej kultury. Opinia ogółu widziała w niej kraj analfabetów, zacofania i ciemnoty. Fakty, które zwracały uwagę, miały najczęściej charakter ujemny: anarchistyczne zamachy bombistów, sprawa Montjuich, wreszcie wojna hiszpańsko-amerykańska. W ostatnim czasie t. j. w roku 1906, koła inteligencyi zachodniej Europy zostały wzburzone uwięzieniem i prześladowaniem F. Ferrera. Pamiętny jest jeszcze głośny protest, liczne mityngi we Francyi i w Belgii wywołane zachowaniem się rządu hiszpańskiego względem tego męża oskarżonego o udział w nieudanym zamachu madryckim. Wtedy zwrócono uwagę na potężne dzieło Ferrera-Escuela Moderna w Barcelonie i na szerokie niwy ruchu umysłowego w Hiszpanii uprawiane przez ligi wolnej myśli i stowarzyszenia postępowe. Uwagę przykuwała głównie szkoła barcelońska. Obraz jej łączności z przeszłością oraz gruntu na którym wyrosła, odkryć może przed nami historya szkół racyonalistycznych w Hiszpanii.

Jedna z pierwszych szkół świeckich (Escuela Laïca) założona została 1855 roku w Verdad przez Ligę Wolnej Myśli. Istnieje ona jeszcze dzisiaj i ze względu na swoje urządzenia hygeniczne, metody nauczania i ciało nauczycielskie uważana jest za jedną z najlepszych.

Ligi Wolnej Myśli jawnie wypowiadały się za zakładaniem szkół świeckich. Z ich inicyatywy i przy poparciu grup republikańskich, socyalistycznych, spółdzielczych powstała dość znaczna liczba szkół wolnych.

Lat temu 30 władza kościelna nakazywała milczenie umysłom niepodległym, zamykała usta najodważniejszym: Kościół zwalczał niechętne sobie pisma i wydawnictwa za pomocą terroryzmu, poczynając od ekskomuniki a kończąc na zbrodni (zabicie Garcii de Vas). Tak było i tak być musiało. Ludność robotnicza przemysłowa dosięgała zaledwie cyfry 30,000, lecz już w 1896 roku podług statystyk oficyalnych, przemysł zatrudniał koło 250,000 robotników. Na obu wybrzeżach Hiszpanii utworzyły się centry przemysłowe skupiające masy proletaryatu robotniczego i intelektualnego. Bilbao w kraju Basków — główny ośrodek górniczy, Barcelona w Katalonii — siedlisko przemysłu i handlu. Przytem konkordat zawarty z Rzymem za rządów Izabelli w 1851 r. oddał pod kontrolę biskupów wszystkie szkoły książki i podręczniki. Rewolucya 1868 r. zniosła konkordat i przywileje szkolne kleru, restauracya roku 1876 przywróciła go znowu i skasowała wszystkie szkoły i kościoły protestanckie. Rok 1890 przyniósł ze sobą powszechne prawo wyborcze, wyzyskane później przez republikanów na korzyść swobody i postępu.

Dzieje polityczne i ekonomiczne Hiszpanii zwróciły ją nader późno na drogę demokratyzacyi i postępu. Najjaśniejszą może kartę poczynającego się odrodzenia Hiszpanii stanowi ruch szkolny, jedna z ostatnich fal postępu europejskiego. W ruchu tym bardzo ważną i pozytywną rolę odegrali anarchiści. Anarchizm hiszpański, jeżeli odrzucimy na bok spontaniczne wybuchy i terrorystyczne akty, realizuje w ruchu szkolnym wskazówki genjalnego umysłu i przeczystego człowieka Elizeusza Reclus: „wyzwolenie mas nieoświeconych nie może dać wolności; rewolucya siły nie poparta przez rewolucyę umysłów prowadzi do zguby, wyzwolenie ludu spoczywa w wyzwoleniu dziecka..." W tym też kierunku zwróciła się akcya intelektualnych sił anarchistycznych.

Po upadku Izabelli II w 1868 r. kraj odetchnął swobodniej. Liberalne koła wzięły się energicznie do pracy nad podniesieniem oświaty ludowej. Statystyka zarządów klerykalnych wykazuje 12 milionów analfabetów na 17 milionów ogółu ludności Hiszpanii. Pomimo trudności materyalnych i braku odpowiednio wykształconych ludzi liczba wolnych szkół wzrosła tak dalece, że w roku 1883 założono Federacyę dla obrony interesów szkolnictwa. Federacya ta trwała nie długo; sporo szkół upadło dla braku funduszów, gorączkowa jednak praca przyniosła pewien rezultat, główną jej wadą był brak metody i systemu, słaba koordynacya wysiłków lokalnych.

Cały ten ruch szkolny otrzymał podstawę i wytyczną w roku 1901 przez założenie szkoły wzorowej w Barcelonie. Ferrer wygnany z kraju rozmyślał nad środkami podniesienia ojczyzny z upadku, w jaki go pogrążyła gospodarka konserwatywno-klerykalna. Agitacya republikańska i jej wyniki wykazały, że robota musi być zaczęta od podstaw. Pomoc czynną nieśli mu E. Reclus, Letourneau. Dr. de Buen, d-r Vargas, Anselmo Lorenzo. Za podstawę materyalną dla szkoły barcelońskiej posłużył zapis pani Meunier, uczennicy Ferrera z czasów paryskiego wygnania. Legowała mu ona nieruchomość dającą 35.000 f. rocznie wyłącznie na cele szkolnictwa w Hiszpanii. Program szkoły opierał się na ewolucyi postępowej dziecka; na ominięciu atawistycznych instynktów reakcyjnych—religii, niechęci rasowych, przesądów klasowych, zawiści i popędów krwiożerczych. „Nasze nauczanie, mówi Ferrer, nie akceptuje ani dogmatów, ani zwyczajów. Podajemy tylko teorye rozumowe, prawdy poparte przez dowody, twierdzenia oparte na faktach. Nauczanie nasze ma za zadanie poddanie mózgu woli jednostki". Metoda szkoły racyonalistycznej została oczyszczona od wszelkiej rutyny i dogmatyzmu, Ferrer nie uważa za stosowne przemilczanie wobec dzieci idei religijnych, pojęcia o Bogu, dogmatów społecznych. Tematy te właśnie należy przedyskutować w szkole w ten sposób, aby pozostawić dziecku swobodę myśli, ułatwić mu świadomy krytycyzm i otworzyć oczy na źródło niedoli społecznej.

Szkoła Nowa założona w roku 1901 liczyła w pierwszym miesiącu 18 chłopców i 12 dziewczynek; w końcu roku liczba uczniów wzrosła już do 70. Wpływ tej szkoły rósł szybciej niż zastępy jej uczniów, przekroczył granice kraju ojczystego. Zadanie pierwotne twórców było tem trudniejsze, że należało odrazu stworzyć szereg podręczników i książek opartych na zasadach racyonalistycznej metody.

Z imieniem Szkoły Nowej wiąże się cały szereg dzieł napisanych ad hoc przez wybitnych specyalistów, jako to „Ewolucya superorganiczna" — prof. Llurii, „Historya przyrodzona"—D-ra Odon de Buen, „Substancya wszechświatowa"—A. Blocha, „Historya powszechna"—pani Jacquinet, „Źródła chrześcianizmu"—Malbert'a.

Lud hiszpański mimo swej ciemnoty garnie się do światła, nauki i postępu. W Madrycie np. istnieje dziesięć szkół świeckich, które cieszą się ogromnem powodzeniem. Spora ich liczba funkcyonuje w Barcelonie w Bilbao, w Saragossie, w Sewilli, w Korunnie. Katalonia bardziej postępowa niż inne prowincye, posiada szkoły świeckie nie tylko w miastach ale i po wsiach.

Zresztą masy ludowe budzą się powoli do życia, otrząsają z siebie palącą a zdradną koszulę Dejaniry, w którą je przyoblekła reakcya kościelna. Ognie piekielne przestały już być postrachem ludu. W małych wioskach górskich np. Prado del Rey (Kadyks) pogrzeby przeważnie odbywają się po cywilnemu. W okręgu Penalivido (Badajoz) obchodzą śluby cywilne przy dźwiękach Marsylianki.

Te płodne ziarna ruchu wolnościowego rzuciła Szkoła Nowa, grunt wszakże został przygotowany przez wysiłki poprzedników. W roku 1905 za przykładem Barcelony zjawiło się około 60 szkół racyonalistycznych w Katalonii i w innych prowincyach. Sukces był tak wielki wówczas, że w roku 1906 Ferrer wydał w wielki piątek bankiet racyonalistyczny z udziałem 1700 uczni różnych szkół będących filiami Szkoły Nowej.

Zamach madrycki pozwolił rządowi skorzystać z okazyi i zburzyć nienawistną mu świątynię postępu. Protest demokracyi europejskiej uratował Ferrera, szkołę jego rząd zamknął, ale dzieło jego wydało bujny plon: w Lizbonie powstała niedawno szkoła

świecka; ostatnią założono w Rzymie naprost Watykanu.

Dzisiejszy ruch szkolny zasługuje na baczną uwagę gdziekolwiek się objawia: od niego bowiem zależy w znacznej części los ras europejskich. Duża doza prawdy zawiera się w paradoksie Leona Frapie: „Przyszłość rasy spoczywa w złych uczniach".

Z. U.

ZE SZTUKI.

O prądach i manierach we współczesnem malarstwie polskiem.

I.

Nieco uwag ogólnych.

Ktoś kiedyś powiedział, że malować wolno wszystko, byle malować dobrze... Niewątpliwie.—Sztuka nieznosi żadnych więzów — swoboda zupełna jest warunkiem twórczości artystycznej i wolność w wyborze tematu, wolność w opracowaniu, w wyborze i zastosowaniu techniki. Inaczej, dzieło wykonane pod jakimś przymusem, wbrew indywidualnym chęciom twórcy, zawsze nosić będzie te cechy przymusu, nieszczerości, wysiłku i napewno nie zdobędzie sobie takiego uznania, nie da subtelnemu widzowi tyle bezpośredniego zadowolenia, co szczera samoistna, nieskrępowana twórczość indywidualisty, wypowiadającego się w swem dziele samorzutnie.

I choćby najpopularniejszą, najbardziej ulubioną w pewnym czasie była jakaś szkoła, albo maniera, to wszakże otwarte zostaje pole dla każdego artysty samodzielnego do tworzenia dzieł z pod owej mody wyłamujących się, do przeciwstawiania powszechnemu ideałowi idei nowej,—a rozumie się samo przez się, że ta nowa idea znajdzie wyznawców w rzeszach artystów i powołanych, o ile istotnie wniesie ze sobą do sztuki świeży powiew młodości.

Wszelka moda w sztuce jest uwiądem starczym niegdyś młodej i pięknej idei, która, starzejąc się z czasem, musi ustąpić miejsca swojej *wyrodnej* córce, co przestała już być *nieodrodną*, doszedłszy do samopoznania i odkrywszy w sobie właściwości odrębne, inne upodobania i cele, rozbieżne zwykle u pokoleń starych i nowych. Na tem polega postęp—na ewolucyi, inaczej mówiąc na walce ideałów o zwierzchnictwo, o ambicyę reprezentacyi, o ostatni wyraz w decydowaniu, czem jest Piękno w sztuce, czem Prawda w filozofii i t. d., zależnie od fachowego stanowiska, jakie zajmuje poszukiwacz-odkrywca nowej idei—a różnica jest właściwie tylko ta pomiędzy artystami różnych okresów, że w jeden zaopatrzeni cel, różnymi dążą doń drogami, z różnych punktów widzenia oświetlając te drogi.

Nadewszystko wszakże trzeba malować dobrze. Malować—nie znaczy myśleć, albo czuć, lecz—gdy idzie o malarstwo—władać zawodową wiedzą, mieć prócz talentu, jaki jest warunkiem nieodzownym, jeszcze i umiejętność fachową w wysokim stopniu—być mistrzem w swym fachu. Wówczas każda myśl nową, każde nowe uczucie artysta wypowiada w swem dziele jasno i silnie,—a zależnie od wartości, od głębi tych jego uczuć i myśli, dokonywa się zwycięstwo, zwrot nowy w poglądach i upodobaniach estetycznych u mas—powstaje nowy kierunek, nowa szkoła.

Za mistrzem podążają w uwielbieniu wtajemniczeni jego wyznawcy. Z początku zagrzewa ich zapał i umiłowanie nowej drogi. Ich dzieła, niepozbawione siły, posiadają cechy szczerości—niekiedy wznoszą się ponad swój pierwowzór w doskonałości artystycznej.

Lecz z czasem, gdy nowy kierunek zdobędzie sobie prawa obywatelstwa, gdy do stołu pańskiego zasiędą liczne rzesze zgłodniałych dyletantów, gdy opinia poświęci już nowy kościół i zaczyna w nim odprawiać kuryerkowe modły—idea traci na rozpędzie, tężeje śród tłumów leniwych, gubi się i zatraca pod maską mody, staje się powszechną—i w tym momencie otwiera się pole dla nowych wzlotów geniuszu w przyszłość, dla nowej idei, dokąd i ona nie stęzeje w zatęchłej atmosferze mody i maniery, ustępując miejsca innej—i tak bez końca, bo taki jest rzeczy porządek i taka losu kolej.

A malować trzeba dobrze. Najdalej sięgająca w przyszłość myśl, najgorętsze uczucie artysty o miernym talencie i o niewielkiej wiedzy fachowej, zgaśnie jak wątły płomyk przy blasku fajerwerkowych orgij tłumu, który musi być wiecznie podniecanym łuną powszechnego płomienia *bratniej* ekstazy. Przeciw większości, przeciw opinii i duchowi czasu ostoi się zwycięsko jedynie indywidualność potężna i wielki talent twórczy.

Zasada, że wszystko malować wolno, byle dobrze, nie krępuje w niczem, ale też i nie przesądza, iżby równie dobrze, jak głowa kapusty, wymalowany obraz, przypuśćmy figuralny, uosabiający jakąś myśl, uczucie, albo ideę, miał przedstawiać tę samą wartość co ona, niemiał przewyższać nieobliczalnie nieszczęsnej główki kapusty swoją treścią głęboką, większymi trudnościami technicznymi, rozleglejszą skalą wiedzy talentu autora. Prócz wzruszeń wzrokowych nieskończenie bogatszych, obraz taki dostarczy jeszcze widzowi szeregu rozkoszy uczuciowych i intelektualnych—czego nie da najgenialniej wymalowana głowa kapusty. O tej zresztą przewadze sztuki ideowej nad naturalistyczną, o niezbędności pierwiastku idealistycznego w sztuce mówiono i napisano już zbyt wiele, ażeby się nad tem dłużej zatrzymywać; — u nas pięknie tę rzecz przedstawił w broszurze pod tytułem „Dławce" p. Maryan Wawrzeniecki.

Ale zachodzi pytanie, jaki będzie stosunek pomiędzy kapitalnie wymalowaną martwą naturą, a gorzej namalowanym obrazem przypuśćmy historycznym. Tutaj stajemy wobec całego szeregu wahań i zagadnień. Przedewszystkiem musimy wykluczyć zupełne niedołęstwo formy, jakie powoduje, że najmędrsza myśl dyletanta wyraża się śmiesznie i nawskroś nieartystycznie w jego dziele, co sprawia, że obraz taki nie będzie miał wartości dzieła sztuki plastycznej, lecz conajwyżej przy dobrej woli widza da poznać w autorze pozbawionym talentu jego ideowe stanowisko poza sztuką.

Natomiast, gdy forma nieopanowana jeszcze w obrazie innego malarza, niedosyć malarska i poprawna wzniesie się jednak na ten poziom, gdzie już nie razi niedołęstwem a zato treść obrazu, jasno w nim sformułowana, myśl twórcy, intencya jego artystyczna — sięgają ponad przeciętność — to wówczas znajdujemy się już wobec zjawiska z dziedziny sztuki i dzieło takie może się nam podobać i zaciekawiać zależnie od skali swej treści oraz formy.

Nie należy też zapominać, że są kształty i zabarwienia w naturze więcej i mniej skomplikowane — prostsze i bardziej złożone — łatwiejsze i trudniejsze do oddania ich na płótnie. Należy pamiętać, że dobry malarz martwej natury niezawsze potrafi wymalować pejzaż, albo człowieka, a znów portrecista niepodoła często wymalowaniu całej grupy ludzi, nieposiadając dość rozległej wiedzy zawodowej dla podjęcia tak trudnego zadania. Pamiętajmy, że trudności te potęgują się niezmiernie w obrazach wielkich o mnóstwie figur na tle skomplikowanego perspektywicznie wnętrza, lub na tle pejzażu nadzwyczaj rozmaitego w oświetleniu, barwie i rysunku, — że poza malowniczością, poza wrażeniem, jakie obraz wywiera na wzrok, może on jeszcze zawierać treść dramatyczną, może (a powinien jasno i z siłą) wyrażać jakąś myśl, czy ideę... Jest to, zdaje się, ostateczny kres, gdzie trudności wykonania takiego obrazu wzrastają do najwyższych granic.

Uwielbienie artystów dla Matejki gruntuje się na tym podziwie i zdumieniu, że te właśnie niesłychane trudności umiał pokonać zwycięsko — tu również szukać należy przyczyny szacunku, jaki zyskali sobie u artystów Chełmoński i Malczewski, ci dwaj współcześni władcy polskiego malarstwa.

Ale otóż przypuśćmy, że taki obraz najtrudniejszego typu ustępować będzie pod względem formy doskonale opracowanemu studyum martwej natury — czy jego treść bogata niezdoła wynagrodzić nam i zrównoważyć pewnych niedomówień, lub niedokładności opracowania?

Czy nie postawimy takiego dzieła, które jest wyrazem duszy artysty, wyżej od naturalistycznego studyum, wykonanego jedynie za pomocą oczu i sprawnej ręki — oczu tego aparatu do patrzenia, jaki służy równie dobrze ludziom głupim jak mądrym, duchowo niewidomym i jasnowidzom? Czy ważąc na szalach z jednej strony wysiłek i zmaganie się z wieloma trudnościami, z drugiej błahą pracę rąk i oczu — nieprzyznamy wyższości i przewagi pierwszej nad drugą? Sądzę, że tak — i trzeba zapewne być niezwykle zacietrzewionym wyznawcą naturalizmu, czy może tylko zimnym czcicielem wirtuozostwa w sztuce, żeby na pogląd taki się nie zgodzić, odrzucając niejako całą stronę ideową sztuki, całą jej istotną głębię i wartość.

Ale malować należy dobrze! W jednym przecież wypadku nawet to dobre malowanie na nic się nie przyda. Nietylko bowiem dobrze, ale nawet lepiej od głowy kapusty wymalowany obraz pretensyonalny, z ambicyą do twórczości, a niezawierający poza ową pretensyą, żadnych oznak myśli rozumnej, żadnego uczucia, będący dowodem tylko głupoty i braku wyobraźni u autora — obraz taki, uosabiający najnieznośniejsze zjawisko w sztuce — zawsze ustąpić musi miejsca rzetelnie wymalowanej martwej naturze. A chociaż i tu skala jest nader rozległa w stopniowaniu i stosunek może zachodzić różny, zależnie od umysłowości i uzdolnienia malarza, to jednak śmiało powiedzieć można, że najohydniejszym występkiem wobec sztuki będzie utwór łączący w sobie brak inteligencyi z bezczelnością, brak talentu z brakiem zawodowego wykształcenia, a często przytem kradzież najordynarniejszą z włamaniem do cudzej zasługi artystycznej...

Niestety bowiem ludzie, którzy malują, niezawsze będąc artystami, ludźmi zostają zawsze, a i ci, którzy są artystami, ludźmi być nie przestają, — a że ludzką jest rzeczą cnota i występek, więc nic dziwnego, że i w sztuce szlachetne, a czasami występne zdarzają się kombinacye.

Nie postawi się żadnemu malarzowi zarzutu z naśladownictwa, jeżeli w nim ono wypływa z miłości dla swego mistrza i jest jawnem, ale zarzut będzie poważny, gdy stwierdzimy, że dany malarz powtarza za kim innym pomysły oraz sposoby malarskie, tając to w nadziei, że jemu będzie przypisaną zasługa, a stąd korzyści pewne dla siebie osiągnie.

Wogóle, lepiej może pominąć tą stronę w sztuce, nietyle zakulisową co odwrotną — lepiej niezajmować się żadnymi medalami zasługi, które obustronnie nieraz świadczą o wielkim zaszczycie, a tak często przypadają w udziale artystom o miernych talentach, dzięki spekulacyom najróżniejszym, dzięki nieraz względom politycznym i tym

innym, właśnie odwrotnym w stosunku do etyki artystycznej i samej sztuki — jaka przecież ma zadania swe własne, wcale nie moralizatorskie, dalekie od zajmowania się nędzą człowieka, jego drobnymi przywarami, wszelką pospolitą małością szarego z dnia na dzień życia.

Wprawdzie utrzymują niektórzy, że artysta i człowiek to jedno, ale ponieważ mało komu danem jest odnaleźć twórcę w dziele, a jeszcze trudniej w twórcy doszukać się człowieka z jego ludzkimi cechami (gdyż mało kto uwierzy, że w artyście tkwi na dnie bestya ludzka), — więc najczęściej patrzymy na obraz jak na rzecz cudowną, istniejącą niezależnie, stworzoną z pomocą tak zwanego natchnienia przez ducha-twórcę sposobem jakimś magicznym.

Zasuggestyonowani tą cudownością obrazu, skorzy jesteśmy do ekstazy z otwartymi szeroko ustami naszej wrażliwej duszy i gotowi jesteśmy raczej pokochać odrazu takiego twórcę czarodzieja, niż zdobyć się na spokojną fachową analizę i krytykę — bez jakiej nieda się przecież ustalić słusznego poglądu na dany obraz i jego twórcę.

Bardzo też przeszkadza w oryentowaniu się bezpośredniem uprzednie pośrednictwo przeczytanych pierwej krytyk, a najwięcej — estetyczne nieuctwo i niski poziom upodobań, do dziś jeszcze u nas rozmiłowanych w tanim sybarytyzmie osładzania sobie życia za pomocą sztuki. Niewątpliwie z tak szampańskiego stanowiska zapatrując się na owo rzekome kosmetyczno-cukiernicze posłannictwo sztuki, musimy w artystach podejrzewać ludzi o nadzwyczaj słodkich duszach — i z oburzeniem odpędzilibyśmy od siebie myśl, że artysta, twórca, albo powiedzmy odrazu — czarodziej, bardzo często bywa człowiekiem o szorstkich manierach i gorzej jeszcze, czego znów nie powiemy odrazu...

Z takiego stanowiska patrząc na sztukę, nie wypada nam, nic innego jak tylko niezauważyć na wystawach wszystkich tych obrazów, które są wolne od cech wyżej wspomnianych, a natomiast obfitują w cechy wręcz przeciwne, jakie pod jednem mianem „modernizmu" znane są nam ze słyszenia, — obrazy te obrażałyby nasz wzrok nawykły do uprzejmego patrzenia na wszystko przez różowe okulary. Z chwilą, gdybyśmy spojrzeli przypadkiem na które z tych strasznych dzieł, mogłoby nam się na usta wyrwać przekleństwo, miażdżące jednym wyrazem dzieło i jego twórcę — a to przecież byłoby conajmniej w złym tonie, przytem nierozsądne — bo artyści wogóle są to dobrzy i biedni ludzi, conajmniej chorzy niekiedy — na pomięszanie zmysłów...

Więc lepiej nie myślmy i nie mówmy o tem, jaki może być kontakt pomiędzy widzem a autorem, wiele w tem porozumieniu bywa przenikliwości i wczucia się ze strony widza w duszę artysty.

Najczęściej, jak już o tem wspominałem, moda, inaczej mówiąc owczy pęd, decyduje, że szereg artystów, którzy ową modę reprezentują najgodniej, cieszy się nadmiarem powodzenia, gdy inni przymierają głodem. Wczoraj jeszcze wylizane obrazki o tematach z życia powszedniego, — dziś już może symboliczne kompozycye, tematy ponure w brawurowym podane rynsztunku najświeższych technik. Po nabożeństwie żałobnem za duszę mody, która odeszła z tego świata w pełni chwały i zasług — następuje natychmiast uroczystość chrzcin nowej mody, dopiero co zjawionej na świecie, (to znaczy przybyłej do Warszawy z Zachodu u schyłku swego żywota na szereg gościnnych występów, albo gorzej jeszcze, po śmierci, nieosobiście, lecz zaledwo upiornem echem odzywającej się z poza grobu).

Naturalnie tu i owdzie zdarza się wyjątek: od głosu powszechnego odłączy się niekiedy cichy szept protestu przeciw modzie, albo gwałtowny okrzyk warcholskiego veto — ten i ów z subtelniejszych mówców z pośród zastępów pospolitego ruszenia wypowie niekiedy swój pogląd niezależny. A im dłużej żyjemy, im starsza jest nasza kultura artystyczna, tem oczywiście częściej zdarzają się podobne manifestacye.

W latach ostatnich, co sobie poczytywać możemy za dowód wielkiego postępu i rozwoju, doszliśmy już do tego, że współrzędnie posiadamy cały szereg mód, raczej modnych fasonów, według których szyjemy sobie nawzajem buty, okrywając się jednocześnie w niedostępne płaszcze zreformowanej pogardy dla wszystkiego, co nie jest skrojonem wedle naszej miary.

O tych właśnie najświeższych kierunkach, głównie w zakresie pejzażu i portretu, a także o manierach, jakie z nich rodowód swój biorą, opowiem w dalszych artykułach, mając przed oczami minionych czasów arcydzieła, ażeby łatwiej, drogą zestawień, dojść jakichś wniosków i uogólnień.

Zygmunt Badowski.

Z TEATRU.

Teatr Mały. „**Simona**", sztuka w 3 aktach, Brieux. Przekład N. N. Petrykiewicz.

W bardzo nadobnej literaturze francuskiej Brieux należy do wyjątkowych pisarzy, którzy zapragnęli zerwać z tradycyami Dumasa i zrozumieli, że teatr francuski odrodzić się może jedynie przez psychologiczne i społeczne pogłębienie poruszanych zagadnień, że zręczność techniczna nie jest w stanie pokryć wewnętrznej pustki, że teatr, który pragnie być jedynie miejscem godziwej rozrywki z braku ożywczej siły ideału zapadać będzie coraz bardziej w niegodziwą czczość i szablonowość, a, chcąc bawić, przestanie wkrótce przebierać w środkach.

Brieux miał przed sobą wzory i to wzory tak wysokie jak Ibsen i Biornson i Strindberg; od młodych Niemców mógł się był nauczyć, że teatr, nie przestając być sztuką, szerzej i głębiej patrzyć powinien w życie i spostrzeżenia swe czerpać nietylko z alkowy i buduaru. Ale Brieux jak neofita olśniony blaskiem nowego poznania z jednej ostateczności przerzucił się w drugą. Każdy jego utwór był sztucznie udramatyzowanym aktem oskarżenia lub odezwą; zdarzenia i ludzie byli mu potrzebni jedynie do wypowiadania i demonstrowania pewnej zasady, którą należało zwalczyć lub umotywować; założenie, t. z. these ciążyła na całym utworze, przytłaczała psychiczne zróżniczkowanie przedstawianych jednostek, była sobie celem i środkiem zarazem.

Zresztą w „Les Avaries" czy w „Robe rouge" umiał jeszcze Brieux dotknąć tematów, które przez swe ogólniejsze znaczenie, czy przez siłę napięcia dramatycznego, jakie umiał im nadać autor, ostrym, karcącym słowem przemawiały do widza. Czuło się wprawdzie i tu te różnice, które dzielą elaboraty Brieux od szeroko zakreślonych i głęboko wyczutych obrazów Ibsena. Spostrzegało się te mielizny myśli, które odróżniają artykuł dziennikarski od spokojnie przemyślanego dzieła poważnego myśliciela, ale trudno było przypuścić, by repertuar postulatów i oskarżeń Brieux tak szybko mógł się wyczerpać.

W „Simonie" założenie nawet nie jest dość wyraźne: p. de Sergeac zabija swą wiarołomną żonę i samobójstwem chce odpokutować swą zbrodnię, ale kula, raniąc go, nie odbiera mu życia i przy pomocy lekarzy p. de Sergeac powraca do zdrowia, a nawet chwilowa utrata pamięci, spowodowana przez wstrząśnienie moralne i postrzał ustępuje zwolna; ale właśnie te mecące chwile, gdy chory dochodzi do poznania swego czynu, stanowią treść pierwszego aktu, który, jak się przekonamy, następnie bardzo mało wiąże się z całością utworu, gdyż utrata pamięci przez p. de Sergeac, dla umotywowania której Brieux musiał fatygować jako eksperta czy świadka Ribota, nie odgrywa żadnej roli, ekspozycyę zaś zbrodni można było wsunąć w tok samej akcyi.

A więc p. de Sergeac popełnił morderstwo i wie o tem; ale najważniejszem zadaniem jego życia jest teraz ukrycie tego czynu przed Simoną, która nigdy nie powinna wiedzieć o tem, że jej matka była wiarołomna żoną, że miała kochanka, że zginęła z ręki męża — nie, p. de Sergeac wychowuje swą córkę w czci i miłości ku zmarłej, a gdy los kazał mu żyć, życie swe całe poświęca szczęściu jedynej swej córki. Ale oto Simona, która ma już przeszło dwadzieścia lat, gdy drugi akt się rozpoczyna, ma wyjść zamąż, a rodzina narzeczonego, która zdołała odkryć tajemnicę zgonu pani de Sergeac, opiera się teraz temu małżeństwu (znowu z bardzo uczonych powodów, w których Brieux płacze się bez przerwy). W umyśle Simony powstają wtedy rozmaite pytania: ona nie winna jest temu, więc kto? więc ojciec? Tak, ojciec; pan de Sergeac przyznaje, że on jest powodem tego zerwania, ale owej winy wyjaśnić nie może. Simona jednak podstępem dowiaduje się całej prawdy od swej starej niani i teraz dopiero staje w położeniu bez wyjścia: nie może kochać zabójcy swej matki, ale kocha swego ojca, tak bardzo go kocha. Prawdziwie piękną jest scena końcowa, gdy Simona zwraca się do ojca z zapytaniem, jak ma postąpić, a ten nie chce się bronić i mówi jej tylko: idź za popędem serca. Simona waha się jeszcze chwilę i sztuka kończy się uściskiem przebaczenia i pojednania córki z ojcem.

Jak już powiedziałem, założenie sztuki nie jest jasne, szczególniej, gdy się wie, że autor zmienił jej zakończenie, w pierwotnej bowiem formie kończyła się ona zupełnie inaczej: Simona nie mogła zdobyć się na przebaczenie.

Jak na pisarza społecznego jest to fakt co najmniej znamienny, ale chwiejność autora „Simony" przejawia się nietylko w założeniu sztuki, w którem zresztą wielkiego zagadnienia doszukać się nie umiem, ale i w całej budowie autora. Cały pierwszy akt wydaje mi się zgoła niepotrzebnym, w drugim znów znajdujemy rozwlekły epizod komiczny z kamienicznikiem z nad jasnego brzegu, który szczególniej w wykonaniu p. W. Łuczaka traci wszelki charakter i dopiero po przebyciu tych wszystkich stacyj, stajemy u początku sztuki...

Francuzi mają wogóle sławę niezrównanych techników scenicznych, p. Brieux zapragnął jednak widocznie i pod tym względem być wyjątkiem między swymi rodakami.

W całej „Simonie" jest tylko jedna nuta, która wzruszała serdecznie a mianowicie przedstawienie tego nadzwyczaj szczerego stosunku między ojcem i córką, które zdaje mi się być jedynym rzeczywiście wycieniowanym akordem w całej sztuce, choć nie wiem ile jest w tem zasługi p. Brieux, a ile panny Dulębianki i pana Staszkowskiego, którzy te role odtwarzali.

Stefan Gacki.

Z PRASY.

Trzy zjazdy.

Opinia rosyjska pochłonięta jest w obecnej chwili dziejowymi faktami — zjazdem słowiańskim, zjazdem misyonarzy prawosławnych i zjazdem październikowców. Wszystkie te trzy zjazdy — miniony słowiański, odbywający się misyonarski i mający się odbyć październikowców pozostają ze sobą pośrednio w dość blizkim związku i powzięte na nich uchwały n. b. sprzeczne odbiją się w przyszłej sesyi dumskiej szczególnie na sprawach narodowościowych.

Ze zjazdu słowiańskiego opinia rosyjska zda się być zadowoloną, widząc w tem pierwszy zadatek zbliżenia się Słowian na nowych zasadach względnego równouprawnienia narodowo-politycznego. Rosyanie jednak zbyt dobrze znają historyę swojej ojczyzny, by mieli się łudzić, że zjazd ten wyda prędko owoce pojednania, tembardziej że punktem ciężkości w stosunkach słowiańskich jest niepopularna sprawa polska.

Z wyników zjazdu prasa rosyjska szczególną uwagę zwraca na uchwały, dotyczące banku słowiańskiego, biura prasy, wystawy i wreszcie „Sokoła", jako na realne podstawy przyszłej organizacyi słowiańskiej.

Co się tyczy strony ideowej, to prasa rosyjska stwierdza, że na zjeździe strona ideowa nie ujawniła się w więcej wyrazistych konturach, niż to już miało miejsce w Petersburgu i Warszawie. Sama delegacya rosyjska ideowo zupełnie nie odpowiadała zadaniom zjazdu i tylko zawdzięczając wysunięciu się na pierwszy plan Makłakowa, jako tako zdołała się dopasować do ogólnego nastroju.

O ile pierwszy zjazd budzi optymistyczne przepowiednie, o tyle odbywający się wszechrosyjski zjazd misyonarzy—przejmuje trwogą wobec jawnych reakcyjnych tendencyj na tle wyznaniowym i politycznym.

Ruch reformatorski w kościele prawosławnym rosyjskim kiełkował już od dawna, lecz dopiero po śmierci Pobiedonoscewa otwarcie poczęto mówić o zwołaniu soboru na podstawach wybieralnych. Utworzona ad hoc komisya przy Synodzie z samych wyższych dygnitarzy kościelnych postarała się zwołanie soboru, jako bardzo niepożądanego zjawiska odwlec ad infinitum, a natomiast wysunęła potrzebę zjazdu, który formalnie nazywa się misyonarskim a w rzeczywistości jest to „mały synodzik" zwołany władzą św. Synodu na podstawach biurokratycznego systemu naznaczenia członków zjazdu. I w samym św. Synodzie sprawa ta nie przeszła bez walki, w końcu jednak grupa prawdziwych Rosyan zwyciężyła i zjazd został postanowiony.

Opinia rosyjska wobec dość silnego wpływu grupy duchownych w Dumie wyraża obawę, że reakcyjne uchwały zjazdu przyczynią się tylko do powtórzenia się tych przykrych faktów, jakie już miały miejsce w komisyi wyznaniowej w ubiegłej sesyi i zaostrzy antagonizm narodowościowy na tle wyznaniowym, co jest w zupełnej sprzeczności z uchwałami zjazdu słowiańskiego o braterstwie Słowian. Jeżeli uprzytomnimy sobie przebieg uchwał w Dumie np. o reformie seminaryów nauczycielskich i wpływ w tej sprawie duchowieństwa, tę obawę opinii rosyjskiej musimy uznać bynajmniej nie za płonną. Potwierdza to jeszcze i ten fakt, że nawet *Now. Wr.* wyraża się krytycznie o zjeździe widząc w nim zapowiedź dalszych walk wzajemnych w kościele prawosławnym.

Niemniej obaw sprawia mający się odbyć pierwszy zjazd październikowców. Partya ta ani nie określiła się wyraźnie w Dumie ani przed Dumą i dopiero dziś przed jesienną sesyą spieszy skrystalizować swe polityczne credo, którego rzeczywiście nikt jeszcze nie słyszał. Przed październikowcami otwiera się łatwa droga zdobycia władzy i zyskania cennej popularności wśród nas, jeżeli staną na wyraźnej platformie konstytucyjnej i skłonią się choć do kadeckiego programu reform socyalnych.

H.

Memorabilia polityczne.

Warszawa, 28 lipca.

Ruch młodoturecki okazał się w czynnem wystąpieniu siłą daleko większą i lepiej zorganizowaną, niż można było przypuszczać z góry. W ten sposób niewątpliwie oceniono go odrazu i w Konstantynopolu. Ustępstwa na korzyść programu Enverbeja zaczęły się od rzeczy najważniejszej, bo od przywrócenia konstytucyi z 23 grudnia 1876 r. Stało się to zaś wprawdzie tak, jak gdyby pod przymusem *force majoure*, gdyż dniem wprzódy wojska proklamowały już konstytucę w całej Macedonii. Sułtan więc podpisując sławne irade, przyłożył tylko pieczęć do aktu, którego cofnąć już nie czuł się na siłach. W ciągu długiego panowania dał on niejednokrotnie dowód stanowczego wstrętu do instytucyj, któreby zabezpieczały jakieś prawa narodu lub otwierały mu drogę do wykonywania kontroli nad czynnościami rządu. Ludność chrześciańską w prowincyach swego państwa oddawał bez troski na łup samowoli biurokratycznej rozmaitych urzędników. Armię, oprócz tej części, która mu była potrzebna do strzeżenia jego świętej osoby, traktował po macoszemu, nie płacąc jej żołdu i pozwalając na to, że nepotyzm i przekupstwo były jedynemi zasadami, jakich się trzymano przy awansowaniu oficerów.

Niema kwestyi, że musiały go nudzić ustawiczne noty mocarstw europejskich, lecz z tym zewnętrznym naciskiem zręczny dyplomata umiał sobie radzić, podburzając je wzajemnie na siebie a w ostateczności grożąc poruszeniem fanatycznego świata muzułmańskiego hasłem wojny świętej. Nareszcie ostatnie wystąpienie Anglii zdało się zapowiadać kres tej intryganckiej gry.

Wobec zupełnego, chociaż entuzyastycznego spokoju, z jakim cała ludność zachowuje się od chwili ogłoszenia konstytucyi i amnestyi, — państwa europejskie, gotowe jeszcze przed chwilą chwycić się ostatecznych środków, zawisły tymczasem wszelką interwencyę w sprawy tureckie. W ten sposób przemawia prasa niemiecka i rosyjska; zupełnie to samo zapowiedział sir Edward Grey w ostatniej, poniedziałkowej mowie w Izbie Gmin. Czy jednak Europa wyrzecze się stanowczo kontroli nad losem ludów chrześciańskich w państwie Padyszacha, to jest kwestya ważna, zależna od tego czy zaprowadzona obecnie przez sułtana zmiana radykalna zarządu państwowego będzie stałą, lub nie.

* *

Poza Turcyą i jej sprawami, polityka europejska w tygodniu ubiegłym przedstawiała mało zajmujących faktów. Do takich zaś w pierwszem miejscu zaliczyćby należało sprawę porozumienia anglo-niemieckiego, nad którem nie przestają pracować zwolennicy pokoju w obu krajach. Niemcy, o ile są chętni zbliżeniu, liczą na wysokie uznanie, jakie wogóle w Anglii przywiązują do zasady wolnego handlu.

W tych dniach właśnie rozpocznie się w Londynie kongres wolno-handlowców, na którym przemawiać będzie prezes gabinetu p. Asquith. Będzie to zatem trzecia z szeregu wielkich mów politycznych, jakie w ciągu tygodnia doszły nas z ust angielskich mężów stanu. Mowa lorda Cromer'a, kładąc nacisk na istnienie niebezpieczeństwa bliskiej wojny europejskiej wzbudziła rodzaj strachu powszechnego i zachwiała kursy giełdowe, a ostatnia mowa ministra skarbu p. Lloyde George, nie zdołała rozchwiać tych obaw, pomimo, że nie szczędził on zapewnień na temat gwarancyi pokojowych.

W Marokku obrót rzeczy nie jest pomyślny ani dla Francyi ani dla Niemiec. Poważne głosy prasy francuskiej domagają się wyjścia za wszelką cenę z położenia dwuznacznego i wahającego, w jakiem znalazł się rząd republiki pod wpływem obawy gniewu ze strony Niemiec. Tu zaś w kwestyi marokańskiej zaczynają widzieć bezcelowy już pozór do wywołania zatargu z Francyą, wobec bardzo pojednawczego nastroju, o czem świadczą pogłoski zapowiadające Zjazd cesarza Wilhelma z prezydentem Faillierès'em w Monaco.

Zjazd ten uważamy za wątpliwy w wyższym stopniu niż zapowiadane spotkanie tego monarchy z królem Edwardem. Jeżeli złowróżbny pogląd lorda Cromer'a, polega na pozytywnych danych, to wątpić można, czy projektowane Zjazdy mogłyby usunąć owo niebezpieczeństwo, na które wskazywał w izbie lordów, ten przezorny a wytrawny polityk.

Zdaje się też, że ta mowa daleko więcej, niż wszystkie inne fakty bieżącej polityki objaśnia stan, w jakim znajduje się Europa.

St. Pyrowicz.

KRONIKA.

— Minister oświaty p. Szwarc wydał rozporządzenie, aby studenci i wolni słuchacze uniwersytetów składali swoim władzom fotografie w dwuch egzemplarzach i obowiązani byli do zamiany tych fotografii [illegible]

— Szczepienie ospy obowiązkowe ma być wkrótce wprowadzone w Państwie Rosyjskim.

— Do Pragi czeskiej wyruszyła dnia 24 b. m. wycieczka turystyczna, złożona z kilkudziesięciu warszawiaków.

— Serbja otwiera w Warszawie agenturę handlową mającą za zadanie ekonomiczne zbliżenie polsko-serbskie. Na czele tej instytucyi stoje p. Benno Heinrich były dragoman konsulatu serbskiego w Warszawie.

— Budżet rosyjski na rok bieżący, zmieniony wmyśl uchwał Rady Państwa, został Najwyżej zatwierdzony.

— Przepisy o normalnym wypoczynku pracowników zakładów handlowych, składów i kontorów, obowiązujące na zasadzie praw stanu wojennego zostały zatwierdzone przez jen.-gubernatora warszawskiego.

— Wznowiono rozporządzenie aby do gimnazyów Królestwa nie przyjmować żydów ponad 10%. W niektórych szkołach norma ograniczona jest do 5%, a do tak zw. gimnazyów dla rosyan, żydzi wcale wstępu nie mają.

— Wystawa rolnicza w Łucku gub. Wołyńskiej otwartą zostanie 7 września st. st. i trwać będzie 6 dni. Zgłoszenia przyjmuje T-wo Rolnicze w Łucku do 1/14 [illegible]

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy"

(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcyi przyjmuje interesantów w poniedziałki, wtorki i środy od 11 — 12; piątki i soboty od 4 — 5 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencyj nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 2 i od 4 do 7 pp.

Wydawca: **Wincenty Biskupski.** Redaktor: **Roman Nowakowski.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.